

# KAMENIA

## DWUTYGODNIK LITERACKI

W NUMERZE: Teatr pieszych • Luków pozbawiony tradycji • Tragiczne kontrasty • Śmierć Tolstoję w Astapowie • O stosunku Prusa do socjalizmu • Olimpiada od dołu • Siennica Różana - wieś artystów • I in.

### T O C O najważniejsze

Przyszły historyk naszego życia literackiego odtworzy pewno, mniej lub więcej wiernie, oblicze każdego z jedenastu zjazdów delegatów ZLP, które się odbyły dotychczas w Polsce Ludowej. Z mojej zawodowej pamięci naczynego świadka znikło już niestety sporo szczegółów, zaledwie kilka tych ważnych zgrupowań pozostawiło w niej wyraźniejszy ślad. A więc przede wszystkim radosne spotkanie w Krakowie — pierwsze po Wyzwoleniu, następny, zdaje się, zjazd łódzki — chyba dlatego, że był niezwykle reprezentacyjny... Potem — szczeciński, bo gorzki był ponad wszelką miarę... Poznański — popaździernikowy, odważny i godny... Może jeszcze burzliwa dyskusja warszawska — w Pałacu Prymasowskim.

Otóż wydaje mi się, że listopadowy zjazd w Sopocie — ten XI — też nie należy do manifestacji, które się prędko zapominają, aczkolwiek nie było tu licznych popisów krasomówczych, ani krótkich śpieć, jak to się zdarza kiedy indziej. Obrady cechowała głęboka rozważa, nakazana chwilą dziejową i samym miejscem konferencji literatów. Do najważniejszych momentów zaliczyć należy bez wątpienia jednomyślny protest przeciwko antypokojowej działalności odwetowców i militarystów zachodniemieckich. „Rozpoczynamy nowy ruch oporu przeciw neohitleryzmowi” — powiedziała m. in. w swym wzruszającym przemówieniu Seweryna Szmaglewska.

Wobec wzmagającej się fali rewizjonistycznej pisarze polscy nie mogą pozostać obojętni. Nie wolno zapominać o zbrodniach hitlerowskich. Toteż podkreślano w dyskusji wagę literatury okupacyjnej, zwłaszcza książek o tematyce obozów koncentracyjnych i więzień. Z drugiej strony, wielu delegatów kładło nacisk na znaczenie zjawisk społecznych na Ziemiach Zachodnich. Wilhelm Szeuzyk mówił o konieczności podniesienia rangi kultury polskiej w tej połaci kraju, o kontynuowaniu i tworzeniu tam polskiej tradycji kulturalnych, gdyż chodzi szczególnie o politykę faktów pozytywnych, która jest, jak trafnie zaznaczył Tadeusz Hołuj, najlepszą postacią walki z rewizjonizmem.

Punktem wyjścia do dyskusji nad tymi problemami były postulaty zawarte we wstępnej części referatu sprawozdawczego prezesa Zarządu Głównego ZLP, Jarostawa Iwaszkiewicza. Powiedział on m. in.: „Pozwalam sobie wyrazić głęboką radość, że mogliśmy się zebrać na nasz doroczny zjazd tutaj, w Trójmieście. Nasze zebrańie w Gdańsku w chwili dzisiejszej ma specjalną wymowę. Przyszliśmy tutaj jak do jednego z naszych domów, których wiele mamy na terenie Rzeczypospolitej. Ale ten dom szczególnie cenimy... Literatura nasza niedostatecznie zajmuje się sprawami morskimi... Nie odbiła ona jeszcze w należytej mierze faktu, że od piętnastu lat stoismy na obszernym placie wybrzeża, że rozwinęliśmy niebywale nasz przemysł stoczniowy czy nasze rybołówstwo. Nie nawołuję do stwarzania morskich „produkcyjniaków”, tylko zwracam uwagę, że rozwój naszego

gospodarstwa morskiego rzutuje na całe nowe życie społeczne i kulturalne w naszym kraju, a tym samym na nową świadomość literacką”.

Zagadnienia zamarkowane już w niniejszej krótkiej relacji wysunęły się na czoło problemów rozważanych w czasie obrad sopockich. Inne kwestie, jak sprawa społecznego zaangażowania pisarza, sprawa wielości stylów, wielości rodzajów artystycznych, sprawa

wydawnicze i propagandy książki polskiej za granicą, czy też kontrowersja: stolica literacka a prowincja, albo wreszcie sprawy bytowe (fundusz literatury, konwencja autorska, emerytura) — wszystkie te bardzo ważne rzeczy są nienowe, są omawiane na każdym zjeździe ZLP. Warto jednak zaznaczyć, że w ustawieniu wielkości tych spraw zaznaczył się w obecnej ich fazie dostrzegalny postęp.

Sumując wrażenia określiłoby się zjazd w Trójmieście jako nieomal bezkonfliktowy. I kto wie, czy właśnie bezkonfliktowość — zgubna dla utworu literackiego — nie wychodzi na dobre zjazdom pewnego typu, które mogą stać się konstruktywne dzięki dyskusji toczonyj naprzód nie tyle zderzeniem się idei, ile uzupełnieniem się propozycji.

Em-Be-Er

**U**DERZAJĄCA jest ilość entuzjastów tak zwanej mikro-socjologii na prowincji. Ostatecznie, czym się ma zajmować działacz społeczny mieszkający od lat na wsi i mający jakieś takie zdolności obserwacyjne.

Trudno nie dostrzegać zresztą przemian, jakie zachodzą na głębokim zapleczu.

Prawda, że ludzie, przyzwyczajeni do biadolenia, narzekają na brak materiałów budowlanych, ale mimo to budują domy i dziś już nie ma wsi, ulicy, kolonii, które nie czerwieniłyby się nowiutkimi dachami, nie bielili tyńkiem, chociaż... brak cementu i wapna.

A drogi? Toż to w jednym tylko powiecie jędrzejowskim w ciągu dwóch miesięcy zbudowano 22 km twardej nawierzchni. „Rozzuchwaleni” chłopcy piszą skargi do KC i Rady Państwa, jeśli władze powiatowe nie dostarczą na czas twardego kamienia lub walów do ubijania dróg.

A elektryfikacja? Tu już ludzie wykazują maksimum inicjatywy, uprzedzają wszystkie zakłady elektryfikacji wsi, zawierają umowy na własną rękę, elektryfikują domy, stodoły, obory, kupują silniki, wiertarki, pily elektryczne i licho wie, co jeszcze.

Ale oczywiście narzekają. Ze mało lodówek, mało pralek. Taka już nasza natura. Będziemy narzekać i wtedy, kiedy dachy domów wiejskich pokrywają się antenami telewizyjnymi, a rolnicy zbierają będą po 25 q pszenicy z ha.

Czy dostrzegamy wszystkie przemiany, jakie zachodzą w życiu materialnym wsi, i w związku z tym widzimy i kwitujemy przeobrażenia zachodzące w procesie laicyzacji średniego i młodego pokolenia chłopskiego?

Iluż to naszych mecenasów rozprawiających o „specyficznej psychi-

## MECENASOM WSI SPOKOJNEJ pod rozwagę

ce polskiego chłopca” z rozczeniem cytuje jeszcze ciągle Wyspiańskiego:

*A jak modli się w kościele,  
taka godność, to przejęcie;  
bardzo wiele, wiele z Piasta;  
Chłop potęgą jest i basta.*

A my tu sąsiadujemy o miedzę „lat dwadzieścia pośród śledzę”, patrzymy, liczymy, notujemy.

Ciekawe są np. obserwacje poczynione w związku z frekwencją na nabożeństwach w niedziele i uroczyste święta kościelne (z wyjątkiem Bożego Narodzenia i Wielkanocy). Przytoczone dane dotyczą środowiska młodzieżowego i to wyłącznie męzczyzn.

Stale na msze poranne uczęszcza około 4%, na sumy 21%, na nabożeństwa w dni świąteczne 57%.

Na pytania, dlaczego inni nie uczęszczają na nabożeństwa kościelne, padają następujące odpowiedzi: „daleko do kościoła”, „musiał ktoś zostać w domu — skoro starsi poszli się modlić”, „nie składa się”, „wolę poczytać”, „wolę słuchać radia”, „pojechalibyśmy z kolegami do sąsiedniej wsi”, „byłem zmęczony”, „nie chodzę, bo nie chcę”, „nie ma obowiązku”, „szkoda czasu”, „teraz lawiruję, ale jak będę na swoim, w ogóle inaczej ułożę sobie życie religijne”, „nie chodzę, bo i koledzy nie chodzą”.

Odpowiedzi te są przytoczone według kolejności podsumowanych da-

### WALDEMAR BABINICZ

nych, od największych do najmniejszych liczb.

Wśród tych samych uderzająca ilość jest takich, którzy uczęszczają wprawdzie na nabożeństwa, ale opuszczają kościół w czasie kazań. Ilość w ten sposób praktykujących młodych ludzi wynosi ponad 68%.

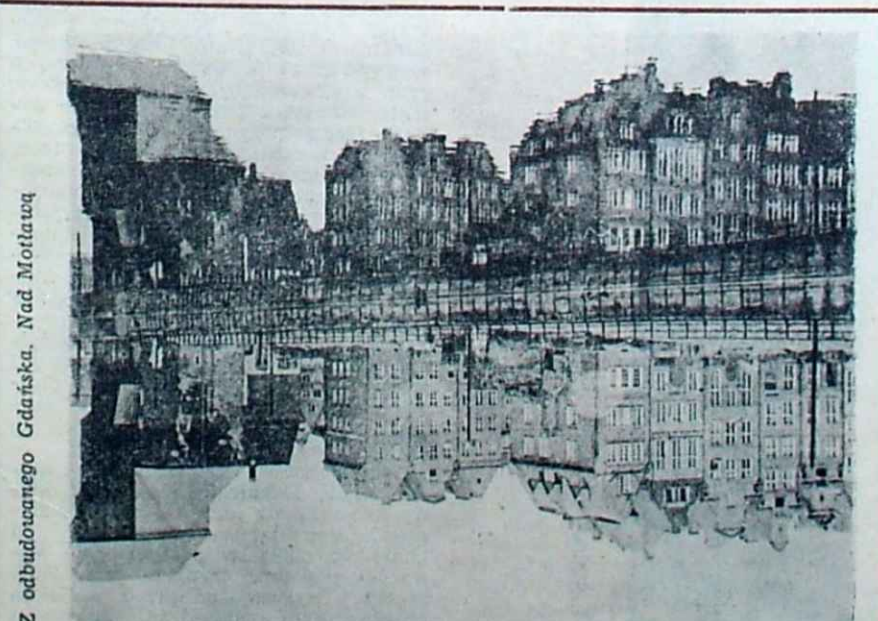
A stosunki między ludnością i księżmi? Jest rzeczą charakterystyczną, że indagowani w tej materii chłopcy wypowiadają się spokojnie, bez zaciętrwienia, z czego wolno wnioskować, iż stosunek do kleru nie wynika z jakiegoś sporadycznego konfliktu, na ogół dość często spotykane go na wsi z powodu nadmiernych opłat za usługi, chwilowej niechęci itp.

Obserwacje te dadzą się podsumować w sposób następujący:

Młode pokolenie chłopskie nie zajmuje jakiegoś wrogiego stanowiska w stosunku do kleru, ale i nie otacza go specjalnym respektem ani obdarza zaufaniem. Ksiądz nie jest autorytetem, ukazanie się sukni duchownej na wsi nie wywołuje podniecenia, jak to bywało dawniej, nawet dzieci nie biegają „do ręki”, a młodzi mijają proboszcza nie uchyliwszy nawet czapki, jak każdego nieznanego. Ze zdziwieniem odpowiadają na pytanie, czy odwiedzają proboszcza? — „W jakiej sprawie? Po poradę? Nie przyszło nam to do głowy”. Księży odwiedzających domy prywatne przyjmuje się bez wylewności i bez uniżenia, które tak dobrze zna stare pokolenie chłopskie.

Rzecz znamienna, że młodzież absolutnie nie interesuje się życiem plebanii, nie reaguje na ploteczki, tak chętnie zbierane przez kumoszki, nie dziwi się prawdziwym czy rzekomym wykroczeniom przeciw moralności. Księża, jak i inni ludzie, mają swoje ułomności, swoje hobby i najbardziej świeckie zainteresowania. Młodzi pokpiwają i z aureoli, jaką jeszcze część starszego społeczeństwa otacza duchownych, i z nieufności lub podpatrywania życia na plebanii.

Spostrzeżenia te odpowiadają w zupełności obserwacjom poczynionym w ciągu kilkunastu lat. I ja coraz częściej dochodzę do wniosku, że młode pokolenie nie tylko nie garnie się do księży, nie tylko nie szuka z nimi kontaktów lub porozumienia, ale najczęściej poprzestaje na poprawnym, wstrzemięźliwym lub zgoła obojętnym



Z odbudowanego Gdańska. Nad Moltawą



ŁUKÓW obrósł w tradycję. Taki wniosek nasuwa się mimowolnie po obejrzeniu garści wycinków z prasy dotyczących tego miasta. Należy tu chyba do zwyczaju, by przybyszowi pokazywać starszego pana, który powrócił do spokojnego miasteczka ze wspomnieniami pracy w zagranicznej służbie dyplomatycznej. Mówi się i pisze o grupie innych nestorów przechowywujących i kultywujących bogatą tradycję powiatu. Wiadomo, że oni pierwsi podjęli myśl, by powstało widome miejsce szacunku dla tradycji, regionalne muzeum Ziemi Łukowskiej.

O tym, jak już wspominałem, wielu pisało. W cieniu tej tradycji pozostaje w chwili obecnej działalność grupy ludzi młodych, którzy może mniej wiedzą o wszystkich tajemnicach przeszłości ziemi łukowskiej, ale nie mniej są do niej przywiązani. Ludzie ci luzujący starsze pokolenie wnoszą do pracy społecznej aktualne, bardzo żywotne treści. Hasłem ich staje się walka o przemiany społeczne, gospodarcze i kulturowe powiatu.

Tak, całego powiatu, bo ludzie ci potrafią tłumaczyć na konkretne zadania bardzo suchą, ale nieubłaganą wymowę cyfr, a cyfry te mówią, że w powiecie łukowskim tylko 12,5% ludności mieszka w mieście, 87,5% stanowią stali mieszkańcy wsi i że pożywieniem tych 87,5% mieszkańców są głównie ziemniaki (poza Parczewem najwyższy wskaźnik w skali województwa). Trudno tu mówić o kulturze rolnej, kiedy nierzadkim zjawiskiem na wsi jest analfabetyzm i półanalfabetyzm. Mówiono mi, że w niektórych wsiach ludzie zaczynają stosować system trójpolówki, uważając go za duże osiągnięcie rolnicze.

Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa budownictwa. Główną przyczyną zastojów w budownictwie był brak materiałów budowlanych. Trudność niemal banalna, występująca przecież wszędzie, wszędzie nad tym problemem załamuje się bezradnie ręce. W powiecie łukowskim jednak wybrnięto z tych trudności nadspodziewanie prosto. W chwili obecnej w różnych częściach powiatu piętrzą się już duże stopy czerwonej cegły wypalanej w połowych cegielniach wiejskich. W chwili obecnej pracuje na terenie powiatu przeszło sto pięćdziesiąt zespołów wypału cegły. Efekt ich pracy ob-

licza się w setkach tysięcy jednostek ceramicznych. Najważniejsze, że nakładów inwestycyjnych na ten cel poszło bardzo niewiele. Wykorzystano leżące pod niezbyt urodzajną glebą miejscowe pokłady gliny, no i siłę roboczą owych 87,5% ludności wiejskiej. Trzeba tu dodać, że siła ta ze względu na brak w powiecie łukowskim poważniejszych obiektów przemysłowych po prostu była niewykorzystana.

Zdobycie dużej ilości materiałów budowlanych jako realny punkt wyjścia dla innych pomysłów zaczyna już owocować. Oprócz budownictwa indywidualnego rodzą się projekty budownictwa dla potrzeb społecznych. We wsiach powstają komitety budowy świetlic i domów kultury. W Łukowie natomiast na zjeździe nauczycielstwa z całego powiatu podjęto uchwałę o budowie czynnem społecznym domu nauczyciela. Jeszcze dokładnie nie wiadomo, jakie przybierze ten dom kształtu. W najśmielszych umysłach rodzi się on jako duży ośrodek pracy oświatowej i kulturalnej, oddziałujący na cały powiat. Bardziej ostrożni chcą ograniczyć go do mniejszych rozmiarów, by znalazły się w nim jedynie: hotel dla nauczycieli przyjeżdżających z terenu, świetlica i biura powiatowego oddziału Związku Nauczycielstwa Polskiego. Jakkolwiek koncepcja zwycięży (będzie to zresztą zależało od inicjatywy społecznej powiatu), obiekt spełni bardzo poważną rolę i odda wiele usług nauczycielstwu, pracującemu w bardzo trudnych warunkach.

Dom nauczyciela nie jest jedynym obiektem, który zaczyna nabierać realnych kształtów na razie w myślach młodych działaczy. Rodzą się nowe pomysły budowy Powiatowego Domu Kultury wraz z Biblioteką Powiatową oraz budynku dla znanego ze swej pracy w całym województwie Ogniska Muzycznego. Bibliotekarze samorzutnie opodatkowali się na rzecz budowy nowej biblioteki. Opodatkowanie to jest bardzo konkretne, bo przeliczone od razu na ilość sztuk cegły. Dla łukowian sto sztuk cegły ma bardziej realny i namacalny sens niż czerwona sztuczotka, którą każdy z bibliotekarzy przeznacza na społeczny cel.

Oczywiście w chwili obecnej trudno jeszcze określić, które z wymienionych uprzednio pomysłów zostaną zrealizowane, bo powiat jest biedny i wszystkiego od razu nie potrafi udźwignąć, ale na pewno niektóre z tych pomysłów zmaterializują się w przeciągu najbliższych kilku lat.

Zupełnie celowo pomijam w niniejszym artykule nazwiska młodych ludzi, spotykanych coraz częściej na ze-

rozwijal w średniowieczu, wśród żaków, na dworach panów, jak teatr krzepił ducha narodowego po rozbiorach Polski i jak dzisiaj uczy nas i bawi".

Opracowany i wystawiany przez „Podgrodzie” spektakl nosi tytuł „Szczeżkami teatru”. Jest to coś w rodzaju dzieł teatru w Polsce, począwszy od sobót obchodzonych początkowo jako święto kupały, a później związanych z uroczystościami organizowanymi w noc świętojańską.

*Mała nocka, kupałnoka,  
Pałła się do półnoka.  
Hanusia się nie wyspała  
Bo chusteczki haftowała.*

Następnie pokazano dalsze koleje teatru związane początkowo z tradycyjnymi obrzędami ludu polskiego, występującego w formie wędrownych grup z „Turoniem”, teatr jarmarczny, teatr żakowski, popisujący się wesołymi facecjami przed uliczną gawiedzią, teatr dworski, następnie teatr Bogusławskiego i dalej — jego stopniowy rozwój i postęp, który zawdzięczał w dużym stopniu dzielnym wybitnym dramaturgom i komediopisarzom, jak Słowacki, Fredro, Wyspiański... Razem całe widowisko, którego akcja doprowadzona jest do naszych dni obejmuje 17 obrazów.

Widzowie wiejskiemu są bardzo bliskie sceny przedstawiające początki teatru, oparte na obyczajach i pieśniach ludowych, z których część przetrwała w obrzędach regionalnych aż do ostatnich czasów.

Nawiązując do starych tradycji słowiańskich, do odległej przeszłości, kiedy to rodził się teatr na naszych ziemiach wędrując z „Turoniem” od chaty do chaty w poszukiwaniu widza — podobnie czyni to dziś „Podgrodzie” wystawiając przed wiejskim obserwatorem spektakl pt. „Szczeżkami teatru”.

braniach, na których mówi się o sprawach całego powiatu. Nie zależy im zbyt wiele na własnej sławie. Występują przeważnie z ramienia placówki, instytucji czy Powiatowego Komitetu PZPR. Właśnie Powiatowy Komitet PZPR w Łukowie zyskuje coraz większe uznanie społeczeństwa. Właściwie tu rodzą się wymienione uprzednio najśmielsze inicjatywy działalności społecznej. Inicjatywy te obliczone są na realne możliwości i dlatego się udają (np. akcja produkcji materiałów budowlanych). Obecnie rozpoczęto pracę nad przygotowaniem do drugiego zakrojonego na szeroką skalę przedsięwzięcia. Nad podniesieniem poziomu kulturalnego wsi. Do tej akcji zamierzają się włączyć całą inteligencję pracującą w powiecie. Oczywiście myśli się przede wszystkim o wykorzystaniu dużej, liczącej ponad pół tysiąca armii nauczycieli. W akcji tej chodzi głównie o dobrze pojętą pracę oświatową. Planuje się, by w każdej gromadzie powstał punkt odczytowy, biblioteka lub zespół artystyczny. Działacze kulturalni nieco z zażenowaniem mówią o tej inicjatywie, gdyż czują, że oni powinni być jej autorami. Oczywiście uważają, że inicjatywa jest wodą na ich młyn i robią wszystko, by przygotowania do jej realizacji wypadły jak najlepiej. W tak przychylnych atmosferze dla prac kulturalno-oświatowych w Łukowie wzrosła rola Powiatowego Domu Kultury, który może stać się poważnym ośrodkiem skupiającym miejscową inteligencję i wpływać na jej udział w pracy społecznej na wsi. Dobrze się więc stało, że stanowisko kierownika PDK w Łukowie objął człowiek młody, posiadający wyższe wykształcenie i mający wiele ciekawych pomysłów. Pomysły te w trudnych, ale sprzyjających łukowskich warunkach mają szansę powodzenia. Są one jednym z ogniw rozpoczętego łańcucha przemian. Zmiany te widać już i na głównej ulicy Łukowa, gdzie obok starych ruder wyrosły nowe bloki. W blokach tych urządzono bardzo nowoczesnie i estetycznie kilka sklepów. Młodzi łukowianie pokazują się przybyszowi jako znamiona ducha współczesności widomie wychodzącego na łukowską ulicę. Za kilkadziesiąt lat ci sami ludzie może zaprowadzą przybysza do organizującego się właśnie muzeum. Tak, na tradycje i wspomnienia „świetnej przeszłości” trzeba zarabiać solidną pracą.

Jeszcze raz upewniam swoje sumienie, że dobrze zrobiłem, nie wymieniając żadnego nazwiska. Położone dla miasta i powiatu zasługi nazwiska to na pewno w przyszłości wydobędą.

## 100 LAT

### Polskiego Znaczka Poczтового na Lubelszczyźnie

Największe dotychczas w dziejach polskiej filatelistyki święto — setna rocznica wydania pierwszego znaczka — znalazła żywy odzwierciedlenie na terenie naszego województwa. Powołano do życia Okręgowy Komitet Obchodu 100-lecia Polskiego Znaczka, na czele komitetu stanął dyrektor Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Lublinie — Czesław Zarębski. Najbardziej atrakcyjną formą uczczenia tej rocznicy była IV Wystawa Filatelistyczna, zorganizowana na Zamku przez Oddział Lubelski PZF w dniach 8-14.X.1960. Z prawdziwą satysfakcją trzeba podkreślić duży, znacznie liczący się niż na wszystkich dotychczasowych wystawach, udział młodzieży, której wśród ry stanowią polowe ekspozycje. Wśród tych właśnie zbiorów wyróżnia się kolekcja Beaty Kempisty z Liceum im. Unii Lubelskiej, która pokazała 100 kart albumowych tematycznego zbioru „Flora i fauna”. Bezwzględnie najcenniejszy był jednakże zbiór wystawiony przez znanego filatelistę, członka PZF — Leopolda Subtelnego, który w jednej gablocie dzięki umiejętnej doborowi ekspozycji pokazał i znaczną sposobie historii poczty polskiej i znaczną oraz najważniejsze wydarzenia w życiu naszego narodu. Tu właśnie można było zobaczyć m. in. pierwszy znaczek pocztowy na oryginalnych listach i szereg innych, rzadkich pozycji. Nie też dziwnego, że zbiór ten otrzymał na wystawie najwyższe wyróżnienie w postaci dyplomu na dze medali brązowego. Obok wystawy na Zamku czynna też była druga wystawa zorganizowana przez Wojskowe Koło PZF w Klubie Garnizonowym. W czasie trwania wystaw używane były specjalne kasowniki okolicznościowe, które cieszyły się dużym zainteresowaniem ze strony zbieraczy. Prawdziwą atrakcją stały się jednakże stemple obrzędowe, jakie otrzymały urzędy pocztowe w naszym województwie. Stemple te wykonano na wzór istniejących przed stu laty kasowników i na okres kilku dni przydzielono tym pocztom na Lubelszczyźnie, które również były czynne od roku 1860. W sumie 100-lecie Polskiego Znaczka Poczтового było w Lublinie imprezą udaną i z pewnością przyczyniło się do powiększenia i tak już dużej liczby filatelistów.

26 listopada upłynął rok od zgonu Józefa Nikodema Kłosowskiego. Jak wiadomo, zmarły powieściopisarz lubelski był działaczem ludowym, w czasie okupacji uczestnikiem ruchu oporu w Lubelszczyźnie. W latach 1942-44 ukrywając się w lasach i wsiach krasnostawskich redagował konspiracyjne pisma Batalionów Chłopskich: „Chłopski Znak”, „Wyzwolenie”, „Wiesź tworząca” i „Kukulkę” (dla dzieci). W uznaniu Jego zasług, jeszcze za życia, na trzy miesiące przed śmiercią (a więc nie po zgonie, jak mylnie podał do wiadomości „Sztandar Ludu” w Nr 271) został on Uchwałą Rady Państwa z dnia 28 sierpnia 1959 r. odznaczony Krzyżem Grunwaldu III klasy.

Jest rzeczą niezmiernie przykłą, że chory pisarz nie został w swoim czasie zawiadomiony o przyznaniu Mu tego honorowego wyróżnienia. Podtrzymałoby go to na duchu w Jego ciężkich ostatnich chwilach. Tymczasem Zarząd ZBoWID-u dopiero teraz (prawie w 15 miesięcy od daty wystawionej na tegitymacji) przekazał wdowie to odznaczenie.

K.A.J.

## Pierwszy w Polsce TEATR PIESZYCH

MIECZYŚLAW TARGOŃSKI

Jest nim „Podgrodzie”. Powstał ten teatr właśnie na Lubelszczyźnie. Dwudziestu młodych zapaleńców, którzy szukają po pracy przyjemność w trudzie pielgrzymki spieszącego z rozrywką kulturalną do wsi województwa lubelskiego pozbawionych dogodnej łączności z miastem, jak się to zwykle mawia: „odciętych od świata”. Takimi właśnie miejscowościami są: Górecko i Górecko Kościelne w powiecie zamojskim. Zjawienie się tam wędrownego zespołu teatralnego z Lublina było dla mieszkańców wielkim wydarzeniem kulturalnym, toteż witano przybyszów z miasta entuzjastycznie, udzielano chętnie gościny i noclegów.

Podgrodziazy bawili poza tym w Brodach, Szczepieszynie, Mętowie, Ciecierzynie, Dysie i Jastkowie (występy odbywały się często w plenerze — z braku odpowiedniej sali). Ogółem przebyli pieszo ok. 100 km, niosąc

ze sobą własnoręcznie uszyte kostiumy.

„Kiedy układaliśmy nasz program — mówią młodzi członkowie zespołu — postanowiliśmy uczcić Tysiąclecie Państwa Polskiego. Przecież to się nie często zdarza taka okazja, naprawdę raz na tysiąc lat! Trzeba pokazać publiczności coś z tego Tysiąclecia. Ale co? Ponieważ sami zajmujemy się teatrem, najbardziej interesowała nas historia teatru. Pomyśleliśmy, że to będzie ciekawe zobaczyć, jak wyglądał teatr kilkaset lat temu, jak się



Z PRZEDSTAWIENIA „BARBARY RADZIWIŁŁÓWNY” FELIŃSKIEGO



# TRAGICZNE KONTRASTY

(W pięćdziesiątą rocznicę śmierci Lwa Tolstoja)

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

ny niż Gogol, Puszkina, Szekspira, Molière, niż wszyscy pisarze świata, — no, i cóż z tego?"

I poczuł nagle, że zapadł się pod nim grunt, że nie ma czym żyć. Nie skończył jeszcze pięćdziesiątki, miał kochaną i kochającą żonę, dobre dzieci, duży, stale powiększający się majątek, szacunek ludzki i sławę. Lecz uczeni i filozofowie wszystkich czasów i narodowości nie potrafili mu wyjaśnić stosunku rzeczy skończonych do nieskończoności. Uporczywa ta myśl o małym nie doprowadziła go do samobójstwa. Wówczas narzuciła mu się imperatywnie potrzeba wzniesienia w sobie jakiejś wiary, na pustym miejscu, które pozostało po zburzonej w szesnastym roku życia nauce kościelnej. Zaczął zbliżać się do prostych ludzi, pątników, mnichów, odszczepieńców, do ludu robotniczego, do chłopów. Zdało mu się, że znajdzie prawdę, gdy się upokorzy i przyjmie dobrowolnie wiarę maluczkich.

Zazdrościł im analfabetyzmu. I nie bez powodu, bo samo obcowanie z ludźmi nieuczonymi i formalne ich naśladowanie nie mogło stępić ostrza je-

go badawczej myśli. Doszedł więc wkrótce do wniosku, że w Piśmie Świętym zawarta jest zarówno prawda, jak fałsz. Odrzucając to, co uważał za fałsz i zabobon, naraził się cerkwi, rozwijając zaś konsekwentnie pierwotne zasady chrześcijańskie wchodził w konflikt z państwem, które wysyłał poddanych na wojnę, sankcjonuje więc zabójstwo. Zwracając się wreszcie do Mikołaja II z radą, by zlikwidował własność prywatną, wywołał protest swojej rodziny. Został ekskomunikowany, dzieła jego uległy konfiskacie, żona, przyjaciel zawsze dotąd wierny i oddany, wszczyna zabieg o roztoczenie kurateli nad majątkiem rodzinnym.

Zdawałoby się, że tak okrutne ciosy mogły dać Tolstojowi pewną, na pozór tylko paradoksalną, satysfakcję, łagodząc wyrzuty sumienia, jakimi trapiła go sama przynależność do klasy uprzywilejowanej. Ale satysfakcji nie było, bo Tolstoj zbyt wyraźnie zdawał sobie sprawę, że z tym wszystkim jest jeszcze niewątpliwie „wybrańcem Fortuny”. Tak dalece, że jeśli z jednej strony osiągnięcia Tolstoja-artysty zdoby-

mają posłuch teorii Tolstoja-moralisty, to z drugiej strony przejęcie się społeczeństwa jego wypowiedziami, częstokroć ekscentrycznymi, utoroowało arcydziełom artystycznym drogę do sławy znacznie prędzej, aniżeli by to miało miejsce w innych warunkach.

A zerwanie z życiem swej sfery, z jej pasożytnictwem, mniej było ostateczne, niż by tego sobie życzył Tolstoj. I na tym polegała wielka tragedia pisarza-przyjaciela ludu.

\*\*\*

Pewnego wieczoru grudniowego roku 1908, kiedy byłam jeszcze świeżo upieczoną słuchaczką petersburskich Wyższych Żeńskich Kursów im. Bestużewa\*), siedziałam w pociągu pośpiesznym, który miał mnie zawieźć na ferie świąteczne do rodziny, mieszkającej w Orle. Hojni krewni przysłali mi sporą sumkę na koszty podróży, mogłam tedy zażywać luksusu II klasy.

Do odejścia pociągu zostawało już niezbyt dużo czasu, gdy do przedziału, gdzie byłam sama, weszła postawna, solidnie ubrana, starsza pani.

Wdała się z miejsca w gawędę ze mną, tłumacząc się gęsto na wstępie z tego, że jedzie klasą drugą, a nie pierwszą.

Dawałam jej repliki nie bez poczucia wyższości intelektualnej, właściwego, we wszystkich czasach, niedojrzałym osobkom wciągany w rozmowę z ludźmi starszymi.

Widocznie jednak zarozumiałstwo moje, przytłumione starannym wycho-

(Dokończenie na str. 4)

Na południe od miasta Tuli, w odległości piętnastu kilometrów, położona jest Jasna Polana, piękny zakątek środkowej Rosji, od przeszło lat pięćdziesięciu cel pielgrzymek ludzi wszystkich warstw społecznych i różnych narodowości. Tu, wśród brzoź i wiekowych lip starodawnego parku, w domu, gdzie urodził się w r. 1828 Lew Tolstoj, znajduje się obecnie muzeum poświęcone jego pamięci. A w pobliskim lesie spoczywa on sam w mogile bez pomnika i bez napisu.

Sąsiedztwo grobu pozornie bezmiennego z imponującym mauzoleum, jakim stało się domostwo zabytkowe, czyż nie jest jednym z tych gorzkich kontrastów, które tropiły wielkiego pisarza-moralistę aż po śmierć?

Biografia starej daty przepoiawiała pochopnie jego wspaniały żywot, prowadząc linię demarkacyjną przez lata siedemdziesiąte zeszłego stulecia, kiedy to ostatecznie dokonał się w Tolstoju przewrót duchowy opisany przez niego w słynnej „Spowiedzi”. Więc okres pierwszy, obejmujący w przybliżeniu dwadzieścia pięć lat pracy pisarskiej, uważało się już tradycyjnie za epokę artystyczną, podczas gdy w drugim okresie widziano wybitne cechy apostołstwa etycznego. Jasną jest jednak rzeczą, że podział ten może być oparty tylko na kolejnej przewadze wymienionych cech, albowiem do psychiki Tolstoja znakomicie daje się zastosować powiedzenie francuskie „plus ça change, plus c'est la même chose”.

Większość utworów Lwa Tolstoja, nie wyłączając mistrzowskich obrazów przeszłości narodowej czy współczesnego mu społeczeństwa, jakimi są „Wojna i pokój”, „Anna Karenina”, „Kozacy” i in., zawiera mnóstwo wypowiedzi świadczących o nieustannym procesie samoanalizy i stałym dążeniu do uzewnętrznienia jego wyników. Z pierwszej autobiografii „Dzieciństwo. Lata chłopięce. Młodość” dowiaduje się czytelnik, że jako chłopiec szukał już Tolstoj odpowiedzi na „przekleśnięte” pytania o sensie życia, tak charakterystyczne dla przedrewolucyjnej psychiki rosyjskiej. Przebieg ewolucji, która od tych pierwocin analitycznych miała go doprowadzić do frenetycznego samobiczowania „Sonaty Kreutzerowskiej”, przedstawił Tolstoj we wspomnianej przed chwilą „Spowiedzi”.

Opowiada więc przede wszystkim o światowym trybie życia, jaki prowadził przez dziesięć lat swojej pierwszej młodości, o czynach, które budziły w nim niesmak już wtedy, w czasie ich popełnienia: „Kłamstwo, złodziejstwo, nierząd we wszelkich odmianach, pijaństwo, gwałt, morderstwo... Nie było zbrodni, której bym nie popełnił, i za to wszystko chwalałono mnie, rówieśnicy uważali i uważają mnie za stosunkowo moralnego człowieka”. Nie trzeba wyjaśniać, że zbrodnie, z których się spowiada Lew Tolstoj, były to zwykłe postęпки młodego światowca, usankcjonowane przez ówczesny kodeks honorowy sfer uprzywilejowanych — pojedynki, gra hazardowa, romanse itp.

Nie oszczędza w tym retrospektywnym spojrzeniu i swych kolegów po fachu, literatów, z którymi nawiązał kontakt mając lat 26, po powrocie z wojny krymskiej. Utrwalił się, powiada, pogląd, że życie postępuje naprzód i że w tym rozwoju ludzie myślą bliżej największy udział, a pośród ludzi myśli my — artyści, poeci — najważniejszą mamy rolę.

Osaczają Tolstoja poważne wątpliwości. Głównym powodem do zwątpienia była niezgoda panująca w kołach literackich. „Negując, łącząc jeden drugiego, drukowaliśmy, pisaliśmy, pocużaliśmy innych. I nie dostrzegając tego, że nic nie wiemy sami, że na najprostsze pytanie, co jest dobre, a co złe — nie umiemy odpowiedzieć, wszyscyśmy gadali na przebój, przytakując sobie czasem i chwalać siebie nawzajem (by mnie przytakiwano i mnie pochwalono), czasem zaś frytując się. „Istny dom wariatów!”

Podróż za granicę nie wniosła optymistycznych akcentów do światopoglądu Tolstoja. Odwrotnie, widok publicznej egzekucji w Paryżu, z przejmującym stuknięciem ściętej głowy o dno skrzyni, zachwiał jeszcze bardziej jego wiarę w postęp. Nie dała mu również zadowolenia działalność u siebie na wsi, w rok po uwłaszczeniu chłopów, kiedy to założył w Jasnej Polanie wzorową szkołę. Udatne małżeństwo, po powrocie z drugiej jalowej wycieczki do obcych krajów, i bujny rozkwit talentu pisarskiego stworzyły wprawdzie szczęśliwą dywersję w jego stanie ducha, ale nie na długo. Coraz częściej, myśląc o sprawach gospodarczych, o wychowaniu syna, stawał sobie pytanie: „Po co?” Innym razem mówił do siebie: „Więc dobrze, będziesz bardziej sław-



ILIA RIEPIN — L. N. TOLSTOJ NA ROLI

## ASTAPOWO\*

B. MEJŁACH

O tym, jak Tolstoj znalazł się na odludnej, zagubionej wśród pól stacyjce Astapowo, opowiada list funkcjonariusza kolejowego P. Aleksiejewa.

„Wieczorem 31 października, o godzinie pół do siódmej, przyjechał pociągiem osobowym na naszą stację Lew Nikołajewicz Tolstoj. Przechadzaliśmy się właśnie po peronie, kiedy nagle rozeszła się wieść: „Lew Tolstoj jedzie”. Wszyscy mieli chęć popatrzeć na niego, ale nie wychodził z wagonu, wyszedł tylko doktor Makowicki, porozmawiał o czymś z zawiadowcą i znikł. Nikt się nie domyślał, że wielki pisarz zatrzyma się u nas w Astapowie, ale po jakimś czasie wszczął się znowu gwar: „Lew Tolstoj wychodzi!” — i rzeczywiście w drzwiach wagonu II klasy ukazał się starzec wspierany ramieniem doktora Makowickiego. Nasz majster kolejowy podszedł do niego i ujął go pod drugie ramię, w ten sposób zaprowadzono go do poczekalni I klasy... Było już wiadomo, że hrabia zachorował, nie może dalej jechać i pozostaje w Astapowie. Pociągi odeszły, kończyły się spaceru na peronie, ale ludzie się nie rozchodzili... Jak tylko Lew Nikołajewicz stanął we drzwiach, wszyscy znajdujący się w poczekalni podnieśli się z miejsc, a stojący w przejściu zdjęli czapki...”

\*) Fragmenty rozprawy pt. „Odejście i śmierć Lwa Tolstoja”, opublikowanej w nr nr 10 i 11 miesięcznika „Nowyj Mir” z rb.

(Jak wiadomo, zawiadowca stacyjki Astapowo oddał do dyspozycji chorego swoje mieszkanie. B. Mejłach odtwarza na podstawie licznych dokumentów dalszy ciąg wydarzeń).

Lekarze czuwający bez przerwy przy łóżu Tolstoja, telegrafisci, którzy pracowali dzień i noc, upadając ze zmęczenia pod lawiną depezy z różnych miast Rosji i z zagranicy, maszyniści, którzy starali się, by gwizdki lokomotywy jak najmniej zakłócały spokój chorego, chłopci okolicznych wsi — wszyscy byli pełni troski o niego, życzyli mu szybkiego powrotu do zdrowia. Do Astapowa napływały telegramy i listy z życzeniami, radami, receptami wypróbowanymi przez lud. Dokoła domku, w którym leżał Tolstoj, panowała niezwykła cisza. Ludzie wyczekiwali pod drzwiami wiadomości o stanie chorego, pytali, czy nie trzeba czegoś załatwić. A w tym samym czasie rząd, od dawna czekający na śmierć Tolstoja, troszczył się jedynie o zainscenizowanie jego „skruchy” i niedopuszczenie do publicznych przejawów uwielbienia, jakie lud żywił dla pisarza.

Nad całą trasą przebyłą przez Tolstoja, a następnie nad Astapowem, rozciągnięto sieć szpiegowską. Tolstoj, pragnący zakonspirować kierunek jazdy, nie podejrzewał nawet, że tym samym pociągiem jechał zastępca szefa wywiadu w Tule Zemużnikow...

Astapowo roilo się nie tylko od zwykłych agentów policji, ale i od „czynników odpowiedzialnych”, poczuwszy od szefa jeleckiego wydziału żandarmerii kolejowej, Sawickiego, szefa gubernialnego wydziału żandarmerii w Riazaniu, generała-majora Głoby, a kończąc na wicedyrektorze departamentu policji Charlamowie, który przybył w ścisłej tajemnicy. O stanie zdrowia Tolstoja i o sytuacji na stacyj wy-

syłano regularnie depeze szyfrowane do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz do moskiewskiego wydziału żandarmerii kolejowej. Charakterystyczna jest np. depeza wysłana przez generała-majora żandarmerii, Lwowa, do rotmistrza Sawickiego: „Proszę zadepešować, kto zezwolił Tolstojowi na przebywanie w Astapowie w budynku kolejowym nie przeznaczonym do lokowania chorych. Gubernator uznał konieczność zarządzenia odesłania do zakładu leczniczego lub do miejsca stałego zamieszkania”. Telegram wysłany do podoficera żandarmerii w Astapowie, Filipowa, brzmiał: „Zeby nikt z przyjezdnych nie lokował się na stacyj. Poza mieszkaniem zawiadowcy nikt nie ma przebywać w budynkach stacyjnych... Do mieszkania zawiadowcy Ozolina dopuścić tylko cztery osoby poprzednio przybyłe. Rotmistrz Sawicki!”

Tłumaczy się to wszystko nie tylko nienawiścią do Tolstoja i obawą zaburzeń. Władze od dawna już zaplanowały zorganizowanie za wszelką cenę „kajania się” Tolstoja, jego pojednania z cerkwią, toteż robiły co mogły, aby oddalić świadków...

1 listopada lekarze postawili diagnozę: zapalenie płuc... 2 listopada w nocy stan chorego się pogorszył...

Jednak Tolstoj nie upadł na duchu, od czasu do czasu nawet żartował z lekarzami, z otaczającymi go ludźmi. Lekarz D. W. Nikitin wspomina, że zobaczywszy go Tolstoj powiedział: „No i dobrze, że pan przyjechał. A ja tu mam zamiar umrzeć, trudno — wszyscy muszą. Ale może jeszcze się wymknę” dodał śmiejąc się. Drugim razem powiedział: „Może umieram, a może... będę uślikował walczyć”.

(Dokończenie na str. 4)



# ASTAPOWO

(Dokończenie ze str. 3)

Przejawem tej walki były już usiłowania, jakie czynił w pierwszych dniach choroby, by wykonywać różne prace. Wieczorem 31 wpisał do pamiętnika kilka wierszy o przyjeździe do Astapowa i o chorobie. Tegoż dnia dyktował córce swoje myśli. Nazajutrz podyktował listy do członków rodziny, prosząc doręczyć je po jego śmierci. 2 i 3 listopada kazał czytać na głos gazety. Trzeciego też podyktował angielski tekst odpowiedzi na propozycję angielskiego tłumacza „Zmartywychwstania”, by dochód z tego wydawnictwa został przeznaczony dla chłopców jasnopolanskich...

Niepokoili go stan psychiczny żony, chociaż powiedział kilkakrotnie, że spotkanie z nią jest dla niego niemożliwością. Tegoż dnia trzeciego listopada podyktował depeszę do Jasnej Polany: „Stan lepszy, ale serce tak osłabione, że spotkanie z mamą byłoby zgubne”. Nie wiedział, że już 2 listopada wieczorem Sofia Andriejewna przybyła do Astapowa w towarzystwie synów Andrzeja i Michała (Sergiusz Lwowicz przyjechał o kilka godzin wcześniej). Na radzie rodzinnej postanowiono, uwzględniając życzenie Tolstoja i opinię lekarzy, nie wspominać mu o przyjeździe Sofii Andriejewny i nie dopuszczać jej do niego.

Stan chorego był coraz cięższy. Czwartego listopada Tolstoj już nie pisał pamiętnika. Majaczył nawet za dnia. Kilkakrotnie usiłował podyktować lekarzowi coś takiego, czym się bardzo przejmował. Doktor Nikitin uchwycił tylko poszczególne słowa: „Chcę, żeby moje utwory...”, „Zostawcie moje zamierzenia...”. Noc z czwartego na piątego listopada była groźna: chory prawie nie spał, bardzo podniecony, majaczył bez przerwy, rzucał się na łóżku, co chwila siadał i znowu kładł się, mówił niewyraźnie. Od czasu do czasu powracała przytomność, ale i noc z piątego na szóstego nie przyniosła nadziei. 6 listopada, około drugiej po południu, Tolstoj nagle ożywił się: usiadł na łóżku i powiedział głośno, wyraźnie: „Oto więc koniec!... I nic...” A potem jeszcze:

„Radzę wam pamiętać o jednym: jest moc ludzi na świecie oprócz Lwa Tolstoja, a wy jesteście zapatrzeni tylko w jednego Lwa”.

Były to ostatnie słowa Tolstoja wyraźnie powiedziane. Tegoż dnia przywołał syna Sergiusza i powiedział zdanie, którego nie można było zrozumieć. Doktor Makowicki usłyszał tylko słowa: „Prawda... Kocham bardzo... Jak oni...”

Pogorszenie się stanu chorego wywołało przypływ energii u władz i duchowieństwa, dających zgodzie do zademonstrowania „skrucy” Tolstoja.

5 listopada, jakby na jednocześnie dany sygnał przybyli do Astapowa: ihumen Pustelni Optińskiej, Warszawofiusz, w towarzystwie hierodiakona Panteleimona, wicedyrektor departamentu policji Charlamow, riazński gubernator Obolenski i szereg funkcjonariuszy żandarmerii. Nie opodal, na stacji Lebediań, czuwał też nad biegiem wydarzeń biskup tambowski Cyryl. W tym również dniu zaczęła się koncentracja strażników i żołnierzy tak w samym Astapowie, jak i na przyległych stacjach. Do Riazńska, Kozłowa, Lebediań, Bielewa i innych punktów pomknął telegraficzny rozkaz trzymać w pogotowiu jak największą liczbę podoficerów „w pełnym rynsztunku bojowym”, „z karabinami i nabojami”.

Natychmiast po przybyciu do Astapowa Warszawofiusz zaczął domagać się dopuszczenia go do łóżka chorego, ale bezskutecznie.

W nocy z szóstego na siódmego listopada, po godzinie drugiej, nastąpił katastrofalny spadek pulsu... Poproszono do pokoju rodzinę i przyjaciół. Wszyscy stanęli przy łóżku umierającego. Po piątej rano puls zaczął zanikać. Pierwsza przerwa oddechu, potem druga... O godzinie pięć po szóstej rano Tolstoj zakończył życie.

Cały dzień siódmego listopada i całą noc następną trwały żegnania się ze zmarłym. Nie kończącym się szeregiem przechodzili przez pokój żałoby funkcjonariusze kolejowi, chłopci, żołnierze... Słychać było tłumione szlochy... Korespondent „Myśli Kijowskiej” depeszą wieczorem siódmego listopada: „Są wzruszające momenty. Chłopci całą złożone dłonie. Wielu płacze.

Pewna chłopka podniosła dziewczynkę, żeby ta mogła ucałować rękę Tolstoja, i powiedziała — „Pamiętaj go, on żył dla nas...” Z pewnej grupy wystąpił młody człowiek w kaszkiecie, podobno nauczyciel ludowy. Przemówił z wielkim przejęciem. Powiedział: „Ja, syn ludu, składam ci hołd w imieniu ludu rosyjskiego. Ty jesteś cały nasz, chociaż dużo twoich utworów drukuje się za granicą, a do nas docierają zaledwie ich urywki. Człubysz się szczęśliwy, gdybyś wiedział, żeś zmarł tutaj wśród chłopów, którzy cię kochają i będą kochać coraz więcej”. Drugi naoczny świadek, funkcjonariusz kolejowy, opowiadając o momentach pożegnania, otwiera atmosferę głębokiej żałoby ludu, znieważanej świętokradco przez żandarmów: „Ta noc pozostanie na zawsze w mojej pamięci, widzę wszystko, jak gdyby to było dzisiaj... Cicho, w pokoju nikłe światło lampy naftowej, pełno przynębionych ludzi. Raptem ktoś w kącie intonuje nieśmiało i nerwowo „Wiecznaja pamięć” \*), obecni wtórują, otwierają się ze skrzypem drzwi, ludzie przyciskają się do ściany, do pokoju wpada dwóch żandarmów z szabłami, krzyczą ostro: „zaprzestać śpiewu!” Wszyscy od razu milkną. Znowu krótko cisza. Potem ten sam głos tak samo nieśmiało intonuje „Wiecznaja pamięć” i wszyscy śpiewają, ale znowu wpadają żandarmi, znowu rozkaz „Milcze!”... i tak do samego rana, odchodzili jedni, przychodzili inni przez całą noc. (Śpiewanie „Wiecznego odpoczynku” zostało surowo zakazane, ponieważ Tolstoj, jako wykłębny przez cerkiew, był uważany za „heretyka”).

Rozpoczęło się wyprowadzenie zwłok z domku zawiadowcy. Z chwilą gdy trumna ukazała się w drzwiach, chór też zaczął śpiewać „Wiecznaja pamięć”. Stojący na ganku rotmistrz żandarmerii podskoczył do śpiewających nakazując milczenie. Chór zamilkł. Przeniesiono trumnę do wagonu wśród głębokiej ciszy... Ludzie stali bez czapek. W tym momencie żandarmi krzyknęli prowokacyjnie „hura!”

Pociąg ruszył bardzo wolno jakby z ostrożnością unosząc swój cenny „ładunek”.

\*) Wieczny odpoczynek...

## TRAGICZNE KONTRASTY

(Dokończenie ze str. 3)

waniem w „instytucie”, było niedostrzegalne, skoro dama spoglądała na mnie raczej przychylnym okiem, a po kilku drobnych usługach, wyświadczonych jej w podróży, usposobiła się wręcz życzliwie. Zwierzyła się nawet w pewnym momencie, że pisze pamiętniki.

Tym razem nie zdołałam chyba ukręcić zaskoczenia („Komu to będzie potrzebne?”), albowiem moja rozmówczyni zapytała z uśmiechem:

— Was eto udiwłajet?... Moja żyćń oczeń intieriesna \*).

Nie zaprzeczyłam, choć miałam wątpliwości, i wkrótce potem zasnęłyśmy w zgodzie.

Nazajutrz porozmawiałyśmy sobie jeszcze trochę, aż wreszcie pociąg stanął w Tule.

Dama zapukała w szybę i po chwili w drzwiach przedziału ukazał się nośsiłszyk.

— Łozadi przisli? — spytała pani \*\*).

— Priszli, wasze sijatielstwo \*\*\*).

Numerowy wynosił już walizkę. Moja towarzysząca podróży podała mi rękę.

— Ja grafina Tolstaja. Tiepier wy ponimajietie, po czemu ja piszu wosporiminanija?... Prijeżżajtie w Jasnuju Polanu \*\*\*\*) — dodała uprzejmie i wyszła.

Było w tym trochę rewanżu, dużo — efektu teatralnego.

„Aha! Więc taka jeste — pomyślałam — ty, Kitty, młodzieńczy ideał Lewina-Tolstoja... Miernie inteligentna, miernie dobrotliwa... Płytką. Zda się, praktyczna”.

I lekki cień przesłonił mi uwielbianą postać autora „Anny Kareniny”.

Nie skorzystałam z zaproszenia do Jasnej Polany (czego dziś nie mogę odżałować). Ale mam w żywej pamięci gabinet Tolstoja, jakim został utrwalony na płótnie przez Rieplina, — jakim go znali niezliczeni artyści, lite-

(Władze dołożyły wszelkich starań, by utrudnić dostęp do Jasnej Polany, dokąd przewieziono zwłoki wielkiego pisarza. Zabroniono wysyłania pociągów specjalnych. Mimo to na pogrzeb przybyło nie mniej niż pięć tysięcy ludzi: studenteria, chłopci, inteligencja, w tej liczbie ze sto delegacji. Potem nastąpiła fala protestów, ulicznych demonstracji, strajków — w Petersburgu, Moskwie, Kijowie, Odessie, Charkowie, Warszawie, Kazaniu i w innych miastach... Zagranica również zareagowała mocno na wieść o zgonie Tolstoja).

Nie było kraju, w którym śmierć Lwa Tolstoja nie odbiła się głośnie echem... Nie mylił się dziennik francuski „Temps” twierdząc: „Zaden król na łożu śmierci, zaden cesarz w agonii, zaden konający minister nie wywołał tak żarliwej uwagi”. „Ludzkość okryła się żałobą — pisał dziennik „Matin” — Chyli ona dzisiaj czolo przed nieśmiertelnością”. A angielski „Times” wyjaśniał przyczynę skoncentrowania się uwagi całego świata na zgonie Tolstoja — słowami: „Nie ma wśród współczesnych nikogo, kto by dorównał geniuszem Tolstojowi”. „Tolstoj pisał w świetle jak pochodnia” — pisał „Corriere della Sera”.

„Zmarł Lew Tolstoj. Jego wszechświatowe znaczenie jako artysty, jego wszechświatowa popularność jako myśliciela i moralisty odzwierciedla w pewien sposób wszechświatowe znaczenie rosyjskiej rewolucji”. Takie słowa, nacechowane wzruszeniem, napisał Lenin na wstępie artykułu zamieszczonego w dzienniku „Social-Demokrata” w dniu 16 listopada 1910 roku. W uznaniu przez Lenina roli, jaką spełnił Tolstoj w historii świata, brzmiał głos rewolucyjnego proletariatu, ludu całej rewolucyjnej Rosji, całej postępowej ludzkości. Lenin upatrywał wielkie znaczenie pisarza w tym, że Tolstoj wyraził z ogromną mocą nastroj szerokiego mas, gnębionych przez ówczesny ustroj, wyraził ich gniew i protest, odsłonił odważnie podwaliny ustroju opartego na kłamstwie, przemocy, na niewoli ludzi pracy.

Fragmety rozprawy  
B. Mejlacha  
przeł. m. b.-r.

raci, uczeni, działacze społeczni i polityczni, rzesze inteligentów i ludzi różnych stanów. Ten dawny spichlerz z niemalowaną podłogą, o grubych murach i arkadowym sklepieniu, — pokój, gdzie kosa, łopata, piła i inne narzędzia rolnicze bądź rzemieślnicze nadają swoisty charakter prymitywnemu umeblowaniu, był zacisznym kątkiem, sanktuarium dostatniego domu jasnopolanskiego, prowadzonego z wyszukana prostotą przez energiczną żonę Tolstoja, Sofię Andriejewną.

Pamiętnikarze i inni naoczni świadkowie zgadzają się w podziwie dla kulinarnej inwencji skrzętnego gospodyni, która doprowadziła vegetariańskie potrawy spożywane przez Lwa Tolstoja do niebywałego wyrafinowania. Za jej to sprawą także odzież noszona przez pisarza, na pozór prosta — te bluzy w zimie miękkie, flanelowe, w lecie swobodne, chłodzące, i jego wperfumowana bielizna — była taka wygodna i przyjemna.

Tolstoj często orał lub kosił razem z wieśniakami, lecz ta orka bądź nieprzymuszony udział w żniwach były, mimo poważnych intencji, zabawą, czymś, co sąsiedni chłopci przyjmowali jako pracę „na niby”.

Sofia Andriejewna, ta dystygnowana dama, którą poznałam w pociągu, otoczyła Lwa Tolstoja zamaskowanym komfortem, uwikłała go w sieciach dyskretnego dobrobytu. I zapewne było mu długo przyjemnie, dobrze. Za dobrze. Tak dobrze, że odszedł w końcu nie tyle od zmartwień, ile od przyjemności.

Bo rozdzwięk, jaki powstał z czasem między nim a rodziną na tle majątkowym, był niczym wobec rozdwojenia czynu i myśli, które ciążyło na całym długim życiu pisarza — moralisty.

Policja zabroniła wszelkich przemówień w czasie pogrzebu Lwa Tolstoja. W momencie, kiedy opuszczano trumnę do mogiły, reżyser Moskiewskiego Teatru Artystycznego, L. A. Sulerzycki, powiedział do kłęczącego tłumu tylko jedno: że Tolstoj chciał być pochowany na tym miejscu, gdzie, według legendy słyszanej w dzieciństwie, była zakopana „zielona paleczka” z napisem jak uczynić wszystkich ludzi szczęśliwymi... Rozdwojenie w życiu wielkiego pisarza było wynikiem nienormalnych

# KSIĄŻKI które czytamy

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Od pewnego czasu rysuje się symptomatyczny rozdział oficjalnej, kształtowanej przez krytyków i nieoficjalnej, reprezentowanej przez czytelników, opinii literackiej w stosunku do przekładów współczesnej, „zachodniej” prozy fabularnej. Recenzje i eseje w czasopiśmie literackim wyraźnie uprzywilejowują tych amerykańskich, francuskich czy niemieckich powieściopisarzy i nowelistów, których utwory wykazują w tematyce, kompozycji, a bodaj w stylu niewątpliwą przewagę (często jako na wół surowy, niedokończony eksperyment) z laboratorium artystycznego, — czytelnicy natomiast o wiele chętniej wyszukują w księgarniach i bibliotekach książki z pozoru tradycyjne w modelunku fabularnym, w rzeczy samej jednak korespondujące zażyłe i treściwe, i formą ze współczesnością, kto wie, może z nowoczesnością.

„Przemiana” Michel Butora wydaje się na oko mało odpowiednią powieścią dla egzemplifikacji wyżej opisanego zjawiska. „Odmiany czasu” przyklejły do autora nie tylko polską etykietkę teoretyka i praktyka „anty-powieści”, rozbijającego na molekuly wypracowaną przez wiek dziewiętnasty narrację i kompozycję beletrystyczną. W ferworze zachwytu, bądź zgorszenia zapomniano, że uczynił to już wiele lat przed Butorem Marcel Proust i że jego uczeń (w pewnych swoich osiągnięciach kontynuator, w niektórych — epigon) doprowadza tylko do ostatecznych konsekwencji — przykładem właśnie „Odmiany czasu” — eksperymenty konstruktora „Sodomy i Gomory”. „Przemiana” jest właśnie udanym świadectwem takiego terminu: stary jak ludzkie serce problem (dla Prousta był on jednym z wielu) starzenia się i odmładzania uczuć Butor formułuje bardzo zwięzłe kompozycyjnie, wnikliwe charakterologicznie, w przejrzystej, a jednak unikającej bezbarwności narracji. Okazuje się, że stary a dobry znajomy prozy nie tylko francuskiej — psychologizm potrafi się, gwoli zawsze modnego kokietowania nowoczesnością, przybrać wcale zgrabnie w kostium „antypowieści”.

Za tegoż psychologa uchodzi również słuszenie jeden z najlepszych dziś chyba prozaików niemieckich — Heinrich Böll. Jego zbiór opowiadań „Człowiek z nożami” dorzuca garść celnych szkiców nowelistycznych do kręślonego

(Dokończenie na str. 9)

stosunków politycznych i społecznych ówczesnej Rosji. W świetle doby dzisiejszej widzimy wyraźnie zasadniczy błąd teorii Tolstoja, propagującej powrót do natury, sproszczenie, niwelację kulturową społeczeństwa do poziomu niższego, za pomocą wyrzucenia się zdobyczy cywilizacji, podczas gdy wyrównanie właściwe wynika oczywiście z rozproszczenia osiągnięć kulturalnych w szerokich masach. Doktryna Tolstoja, spragniona oprócz stosunków ludzkie wyłącznie na miłość bliźniego, była utopią. A jednak znaczenie jego w dziejach cywilizacji jest ogromne. Był nie tylko genialnym pisarzem, był wzorem wielkoduszności i odwagi. „On uprzedził, że stary ustroj społeczny już może się utrzymać — powiedział Jaurès po śmierci Tolstoja — że ustroj ten został skazany na zagładę zarówno przez gniewne żądania tych, co w nim cierpią, jak i przez protesty sumienia najszlachetniejszych ludzi, których przynębia widok panoszącej się w społeczeństwie podłości i nędzy. Rewolucja jest tuż — tuż. Ona jest wszędzie: w zorganizowanej sile cierpiących i w szlachetnym gniewie ludzi myśli... Bądźcie więc gotowi do stworzenia nowego, bardziej sprawiedliwego społeczeństwa!”

Maria Bechzyć-Rudnicka

\*) Uniwersytet dla kobiet.  
\*) Dziwi to panią?... Życie moje jest bardzo interesujące.  
\*\*) Czy konie są?  
\*\*\*) „Sijatielstwo” — tak się zwracano do osób posiadających tytuł hrabiowski.  
\*\*\*\*) Jestem hrabiną Tolstoja. Teraz Pani rozumie, dlaczego piszę pamiętniki... Proszę przyjechać do Jasnej Polany.



**P**RZYJNAJĘ się bez bicia i innych środków przymusu fizycznego i moralnego, że wyjazd na Olimpiadę był dla mnie tylko pretekstem zobaczenia Włoch. Tej słonecznej i legendarnej Italii, o której się tyle wie z książek i opowiadań — z historii i literatury.

Organizatorzy wycieczki liczyli na kibiców, którzy w wielkim rzymskim stadionie będą entuzjastycznie okrzykami podtrzymywać ducha bojowego w narodzie, walczącym o złote medale i czołowe miejsce na liście najlepszych. Rozgrzeszałem się w myślach, że mój trochę zachrypnięty głos, umiejscowiony pomiędzy wysokim baritonem i niskim tenorem drugim nie odegra w tej kampanii uczuciowo-wokalnej żadnej poważniejszej roli — ba, nawet nie będzie zauważony w akcji czy też milczeniu. Nie znaczy to, abym wyrzekał się całkowicie obecności na igrzyskach. Tylko postanowiłem ją ograniczyć do niezbędnego minimum. Nie jadę przecież do Rzymu jako sprawozdawca sportowy „Kamery” czy literacki „Przeglądu Sportowego”. W ogóle nie mam żadnego zleconego zadania. Ot, zwykły turysta, który oszczędzał przez kilka lat i wybulił żywą gotówkę do kasy „Orbisu”.

Och ten Kochany „Orbis” (ale o nim trochę później)!  
O zmaganiach olimpijskich pisali fachowcy i to bardzo szczegółowo. Dlatego pisać o Olimpiadzie i jej przebiegu w trzy miesiące po jej zakończeniu byłoby przesadą.  
Moje zainteresowania pobięły innym torem. Pisałem niejednokrotnie, że lubię podpatrywać życie od strony małych szczegółów. Mówią one o całości więcej niż wielkie.

daje owoce po 150 lirów kg, gdy nie ma żąda 300 lirów.

— Proszę pół kilograma.

Wyraźnie nie dowoła. Daję mu 200 lirów i czekam na wydanie 50.

Patrzy melancholijnie na mnie i mówi:

— Jeszcze sto lirów!

— Jak to, — replikuję. — Wziąłem pół kilo, dałem 200 lirów, należy mi się reszta.

— Aha — mówi — no to wystarczy! — i odwraca się.

Ale ja energicznie żądam wydania reszty. Kiedy widzi, że nic nie poradzi, złym ruchem wręcza mi 50 lirów, a sam rzuca się na kolana i głośno na pomoc wzywa wszystkich świętych, od św. Antoniego do Piotra i Pawła. Ma nieszczęśliwy dzień. Jakiś okropny klient nie dał mu napiwku i zabrał 50 lirów. Przecież to bandytyzm! Ratujcie święci!

Liczna publiczność nie zwraca najmniejszej uwagi na klęczącego wrzeszczącego przekupnia. Jest przyzwyczajona do takich przedstawień. To należy do drylu handlowego.

W eleganckim sklepie z obuwiem w śródmieściu, gdzie kupuję sobie wygodne trepki, byłem bajecznie obsługiwany. Właściciel i trzech eleganckich subiektyw posiadali mnie na krześle, szybko do pasowali, opukali, obejrzeni no i... zaczęliśmy się targować. Oni 6000 lirów, ja — 3000. Oni 5500 ja 3200. Wreszcie oddali za 4000 lirów. Z honorami odprowadzili do drzwi (a jednak klient to pan) i kiedy chciałem wyjść wszyscy wyciągnęli ręce... po napiwek. Spojrzałem na cztery dionie i z czarującym uśmiechem

# OLIMPIADA OD DOŁU

WACŁAW GRALEWSKI

Mam swoją metodę i swoje sposoby.

Zaraz pierwszego dnia, gdy autokar nasz zatrzymał się przed wrotami stadionu, oderwałem się od grupy i zacząłem kraść w pobliżu wejścia.

Podbiegła do mnie młoda, bardzo przystojna brunetka i zaproponowała kupno programu. Studentka. Ucząca się młodzież dorabiała sobie świadectwem różnymi praktycznymi drobiazgami olimpijskimi.

He? Och, bagatelka. Cento lire! Sto lirów według relacji giełdowej to prawie 15 naszych złotych. Ale dziewczyna jest tak uroczą, przy tym biegle mówi po francusku i po angielsku, i trochę po niemiecku, że wręczam jej monetę 500-lirową i biorę program. Czarnuszka uśmiecha się czule, daje mi program i, wolając tante grazie, oddala się w podskokach. Zdobywam się na finisz i z lekka zadyszany dopadam czarnego motyka.

— Proszę o resztę! Jaka reszta? Oczy dziewczęta są wilgotne, a usta szeroko otwarte ze zdziwienia.

— Przecież reszta... to mój napiwek! — Napiwek?! — teraz ja ze zdziwieniem otwieram wszystkie szeroko.

— Sto lirów program, a czterysta-napiwek?! Napiwki daję pięknym dziewczętom w zupełnie innych okolicznościach niż kupowanie programów. Proszę o resztę lub proszę wziąć sobie program z powrotem!

Dziewczyna długą chwilę patrzy tępo, potem z rezygnacją oddaje resztę i... wybucha płaczem. Miała pecha. Jakiś brutal, nieczuły na wdzięki zabrał jej czterysta lirów. A ona się już do nich przywiązała z całego serca.

Trudno! Gdy się jest turystą, który nie śmierdzi dewizami, to człowiek kamienieje i izy najpiękniejszej rzymskiej ninfy nie są go w stanie poruszyć.

Zorientowałem się szybko, że w sprawach pieniężnych Włosi są bardzo twardzi i nieustępliwi. Gdyby te cechy przeniesli na pola walk, byłiby najdzielniejszymi żołnierzami świata.

Dla całego gospodarczego społeczeństwa włoskiego Olimpiada zamykała się w ramach tylko jednej konkurencji sportowej: wyciągając jak najwięcej z gości!

Gdy turysta mówił, że jest po la c e o, na twarzy Włocha pojawiał się zawsze przyjazny uśmiech (na pewno nas lubią), ale i coś lekceważącego zarazem. Ot wiadomo „biedzienną swolocz”, jak mówili starożytni Rzymianie. W tym trochę twardym określeniu nie ma obelgi — po prostu stwierdzenie.

Sprzedawca brzoskwiń zachowuje się podobnie, jak dziewczyna z programami. Gdy są obok konkurencji sprze-

wypowiedziałem po polsku pewną popularną propozycję, mając nadzieję, że nikt z obecnych jej nie zrozumie. Rzeczywiście nie rozumieli, a widząc, że wychodzę i nie daję, cofnęli ręce i uśmiechnęli się życliwie.

Cóż robić, życie czyni człowieka nieustępliwym.

W kawiarni za małą butelczkę wody mineralnej kelner wystawia mi na piśmie rachunek 150 lirów (prawie 25 złotych polskich) za taką samą butelczkę w kiosku ulicznym zapłaciłem 35 lirów. To uderzenie po kieszeni turystów (olimpijska konkurencja) stanowi główną treść życia miejscowego. Podobno w 1959 roku Włochy odwiedziło 15 milionów turystów. A więc uderzenie stało się nawykkiem, odruchem warunkowym — jak by powiedział entuzjasta Pawłowa.

Po przejażdżce po Via Appia Antica odwiedzamy kościółek św. Piotra i więzienie, w którym trzymano Pierwszego Apostoła. Jest to loszek nieduży, do którego się schodzi po schodkach. Przed wejściem jakiś staruszek, na poły postać duchowna, na poły cywilna, zbiera dobrowolne datki od wchodzących. Każdy rzuca na tacę co może. Ja kładę dziesięć lirów. Staruszek ma skokole oko. Chwyta monetę i woła: — Minimum dwadzieścia lirów!

Odpowiadam, że nie mam drobnych.

— No to pan nie wejdzie!

Wobec tego chcę zabrać swoje 10 lirów i odejść. Ale tu następuje metamorfoza. Staruszek energicznym gestem zaskania tacę i woła:

— Więc naprawdę nie ma pan drobnych?

— Naprawdę!

— Proszę wobec tego wejść — wzdycha smutnie.

Przez skojarzenie przypomina mi się, że w pobliżu bazyliki św. Piotra jest kawiarnia św. Piotra. Dla spragnionych turystów. We Włoszech święci też muszą pracować i zdobywać dewizy.

U nas w Polsce taka kawiarnia byłaby nie do pomyślenia. Chociaż... Przecież mamy w Lublinie Kawiarnię pod Czarcią Łapą. Może by tak dla równowagi dać pozwolenie na otwarcie prywatnej kawiarni pod wezwaniem Michała Archanioła. Byłby to piękny przykład koegzystencji, o której tyle się dziś mówi na świecie.

Po trudach wycieczkowych i sportowych wracam do swego pensjonatu.

O, w tym miejscu coś o Orbisie, jak to obiecałem na wstępie! Sine ira et studio! Orbis w prospektach zapowiedział wyjazd do Włoch wagonami sypialnymi drugiej klasy. Tymczasem pociąg złożony był ze zwykłych wagonów drugiej klasy z podniesionymi ławkami.

# NOWA INFORMACJA o stosunku Prusa do socjalizmu

FELIKS ARASZKIEWICZ

1. Wiadomo, że Prus był czujnym obserwatorem życia społecznego na przełomie kilku dziesięcioleci lat, że wyniki tych obserwacji odnotowywał w swej działalności publicystycznej oraz wykorzystywał w szerokim zakresie zaobserwowany materiał w obrazach artystycznych swych opowiadań, nowel i powieści. Początki ruchu socjalistycznego w Polsce pokazał już w „Lalce” jako nową siłę społeczno-polityczną pojawiającą się w r. 1878 na horyzoncie Warszawy. Obraz kielkującego ruchu socjalistycznego, chociaż ograniczony względami na cenzurę, opromienił Prus wyraźną osobistą sympatią do młodych jego przedstawicieli. Nie zapomniał także zasugerować kontaktu polskich socjalistów z działaczami rosyjskimi. W porównaniu ze Świętochowskim, który w „Prawdzie” namiętnie zwalczał idee socjalistyczne, stanowisko Prusa odznacza się dążnością do obiektywizmu i liczenia się z koniecznością radykalniejszych reform społecznych, jednak w granicach solidaryzmu społecznego. W okresie rewolucji 1905 r., na której powodzenie bardzo liczył w jej stadium początkowym, doznał rozczarowania z chwilą jej klęski, nie potrafił dać obiektywnego obrazu w „Dzieciach”, ale mimo to w r. 1907 umiał dojrzeć i uznać cenę wartości socjalizmu, co nie było łatwe dla wyznawcy spencerowskiej teorii społeczeństwa jako organizmu.

20 lutego 1907 r. pisze w „Tygodniku Ilustrowanym”: „Socjalizm oddał ważne usługi cywilizacji, rozbudził jakby ze snu masy pracujące, wytłumaczył, że one są siłą społeczną, że jak inne klasy społeczne mają prawo do dobrobytu, wolności, szacunku, do korzystania

nia z przywilejów obywatelskich; socjalizm zorganizował robotników, wystąpił przeciw nadużyciom kapitału, skrócił nadmierną ilość godzin pracy, podniósł zarobki, dał początek sprawie mieszkań robotniczych i kas emerytalnych. Wyrwał z fabryk dziecko i zaopiekował się kobietą; socjalizm podał krytyce dawne poglądy ekonomiczne i zwrócił uwagę na sprawę podziału bogactw... ale ponieważ na tym świecie nie ma nic doskonałego, więc i socjalizm, obok niewątpliwych usług, wyrządził niemalą szkodę społeczeństwu, osobiście mniej dojrzałym, mniej oświeconym i niezbyt zdrowym, bo... wstępując w ślady krwawej i drażliwej polityki biurokratyczno-militarnej, ogłosił nie tylko zacyfona, ale w najwzajemnym stopniu niemoralną i niedorzeczną zasadę: walkę klas”.

Słowa przytoczone świadczą, że Prus skłonny był aprobować reformistyczny kierunek ruchu socjalistycznego, chcąc w ten sposób pozostać wiernym wobec wyznawanej od lat zasady ewolucjonizmu.

Problematyka socjalizmu nurtuje Prusa dalej, a w ostatnich latach życia znajduje nowe ujęcie i nowy wyraz artystyczny w powieści „Przemiany” (1911, 1912), której, niestety, nie ukończył.

Henryk Markiewicz tak pisze o powieści „Przemiany”, której akcja odbywa się około r. 1880: „Położeniu arystokracji przeciwstawia się — głównie w dyskusjach — nędzę ludu, wódek którego zaczynają się szerzyć hasła przewrotu społecznego. Pewną niespodzianką stanowi Dymitr Permski; rosyjski socjalista-internacjonalista, pro-

(Dokończenie na str. 7)

Wagony sypialne mają swą obsługę, która, oprócz pilnowania porządku, warzy kawę i herbatę i dba o podróżnych.

W tych zwykłych nie było psa z kulawą nogą, a wody w kranach za brakło. Trudno było się ogolić, trudno było nawet wypłukać usta po jedzeniu. Dopiero w Wiedniu na peronie zdobyliśmy wodę do butelek.

W Rzymie ulokowano nas w centrum miasta przy Via Magenta w pensjonacie, który nazywa się New-York. Pensjonacik wśród miejscowego społeczeństwa ma opinię taką, jaką w przedwojennej Warszawie miały pokójki umeblowane. Właścicielka pensjonatu, gruba, przysadzista, bardzo charakterystyczna Włoszka jak na przekór nazywa się... Bomba Salvatore!

To nie wymysł literacki, ani postać ze sztuki Witkiewicza.

Pani Bomba Zbawicielka zaraz na wstępie zamknęła wodę. Trochę tylko było jej w umywalkach. Ale natryski były nieczynne przez cały czas pobytu. A tu prawie 50-stopniowe upały. Nawet noc nie przyniosła dużej ochłody. Jedzenie, zapłacone z góry, gorzej niż podłe. Pamiętam taki obiad: zamiast zupy trochę makaronu na głębokim talerzu. Drugie danie składało się z dwóch małych rybek wielkości małych szprotok (obie ważyły nie więcej niż trzy deka). Do tego ćwiartka małego pomidorka i odrobina fasolki szparagowej.

Na deser trzy małe zielone na pół nadgniłe figi. Ten rodzaj fig (bardzo tani) na targowiskach wyrzucany jest na śmietnisko. Kto wie, może nasza Bomba po opłukaniu podawała je swoim pensjonariuszom.

Do różnych jej osobistych zalet należała krzykliwość. Toteż gdy w głębi korytarzyka rozlegał się jej głos, wołałamy zgodnie: — Die Bombe gajt!

Na dobitkę nasz przewodnik orbisowy zaraz po przyjeździe do Rzymu gdzieś się zawieruszył, a zastępował go młody człowiek, niezmiernie miły i kulturalny, tylko niezaradny i mało energiczny. Na nasze prośby, aby reagował (chodziło nam głównie o wodę), odpowiadał: — Co ja zrobię i ramięm się jak niewinna panienka.

Aby wypełnić czarę osobiowości orbisowych trzeba dodać, że dla ułatwienia sobie zadania, podzielono nas w wagonach nie według jakichś tam burżuazyjnych przesądów w przedziałach dla palących i nie palących, albo towarzyskiego doboru — ale tak zwyczajnie, jak idzie. Ja znalazłem się w przedziale z dwoma bardzo miłymi chłopcami. Aby nie było nam smutno,

dorzucono niewiastę. Początkowo byliśmy zażenowani, ale potem, mówiąc językiem motorowym, dotarliśmy się i stanowili zgrane kółko. W pensjonacie znów podzielono nas według innego klucza.

Tego rodzaju podział zaoszczędzał Orbisowi wiele energii i nie zmuszał do niepożytecznych wysiłków dbania o wygodę pasażerów. Powinni się cieszyć, że udało im się wyrwać na szeroki świat, a nie wylazli z jakimiś grymasami.

Była to dygresja, ale podglądając Olimpiadę od dołu trudno nie dostrzec tych trochę przybrudzonych orbisowych miatek.

Raz tylko natknąłem się na budujący przykład godności zawodowej. Wsiadłem do trolejbusu (w Rzymie nazywają go filobusem) Nr 74. Chciałem dojechać do Placu Rosolino Pilo, a nie wiedziałem gdzie wysiąść. Zwróciłem się do konduktora: — Dica mi, per favore, quando sara Piazza Rosolino Pilo powiedziałem do niego i wręczyłem należność za bilet no i napiwek. Ale konduktor, blondyn z niebieskimi oczami, dał mi bilet i zwrócił pieniądze. — Konduktorzy nie biorą napiwków — powiedział uprzejmie i stanowczo. Uśmiechnął się przyjaźnie. Wskazał mi Plac i pożegnał znów uśmiechem. Wryła mi się w pamięć jego twarz wraz z niektórymi zabytkami Starego Rzymu.

W godzinach popołudniowych sjęsty ruch zamiera. Znikają z ulic auta, przerywają ruch autobusy, filobusy i wozy ciężarowe. Słońce pali, trzeba przeczekać tę ofensywę promieni słonecznych. Rytm wielkiego miasta zwalnia swe napięcie jak puls spiącego człowieka. W tym okresie jadą i idą tylko ci co muszą. Choć nie muszą, chodzą po ulicach. Dla mojej, człowieka północy, słońca nigdy za dużo. Upały znoszą znakomicie, a więc nie ma przeszkód, aby zaglądać we wszystkie uliczne zakamarki. A Rzym ma ich tyle. Prawdziwy labirynt.

W pobliżu kościoła Santa Maria Maggiore jest niewielki placik. Zaglądam tam po wyjściu z ciśnień i melancholijnej uliczki. Widzę kilka postaci chodzących dość nerwowo i raz po raz schylających się. Zbliżam się dyskretnie i obrzucam je spojrzeniami. Trzy czy cztery starsze panie i drobny, siwy, szary pan. Nie wyglądają na nędzarzy. Obrzucił się schłodnie. Zbierają... niedopałki. Spieszą się. Na mój widok wstydliwie odwracają się, żebym nie zobaczył ich twarzy.

(Dokończenie na str. 7)



# MAŁOROLNA JAŚNIE PANI

WŁODZIMIERZ CHELMICKI

Stary to był dworek. Prostopadła i odwieczność były jego urodą. I ganek porosły winem i otoczenie rozgałęzionych drzew, rozciągających jakby opiekę nad starą siedzibą. Niepoślednią rolę odgrywały tu też kwiaty: poczynając od śnieguliczek wczesną wiosną, a kończąc na marcińkach późną jesienią. Ta skromność gineła letnią porą: w doborze barw na rabatach zdradzał się wówczas gust pełnokrwistej hodowcy. Oczarowany był widok, kiedy przekroczył gościnne progi. Gościnne nie dla każdego. Stara kobieta mimo doległości wieku potrafiła jeszcze wyprosić za drzwi. Miała gest i spojrzenie, których mógłby pozazdrościć jej niejedyn aktor. Dużo było w tym domu jesionowych mebli, roślin i ciepła. Posadzka, w której przejrzyć się można było. Naturalnej wielkości nisko zawieszony portrety zmuszały nie tylko do uwagi i podziwu, lecz i do obcowania z nimi. „Takim byłam” — mówiły, ale takim jestem i będę, kiedy ty obrócisz się w proch”. Starsza pani, mimo szybkiego nurywania się jej doń, do końca życia nazywano ją jasnie panią. Taka była wola tej kobiety, której dumy nie osłabiły ani wiek, ani pustki w spichrzu i oborze. Miała, według jej zapewnień, lat około stu, kiedy do końca czynna i przytomna siedziała w fotelu z poduszczyką pod zgrabnymi nogami, z robótką w rękę, czarno ubrana w rurkowym, białym czepeczku. Była od wielu lat wdową po powstańcu, który po 20 latach pobytu w rotach areztańskich powrócił do rodzinnego domu i stante pede ożenił z znacznie młodszą od siebie dziewczyną. Ta niepodległa kobieta, mimo wielkiej urody i pokus, dochowała wierności małżonkowi, uważając się nadal i po śmierci małżonka za związaną przysięgą wierności. Dzieci jej umarły. Pozostał, jak na urągawisko jeden Jacunio, o którym mówiono, że jest niespełna rozumu. Zawsze z nieodłączną fajeczką, w długich butach i obcisłych spodenkach, smukły, wyniosły, zdobny w długi, cienki wąsik, prosty jak on, siedząc przy stole często podśpiewywał dyskantem lub wydawał piskliwym głosem swe opinie o obecnych w formie zbyt niezrozumiałej, by mogła być obraźliwa. Uśmiech zdradzał sztywność rzucając światu. Lubiał wódkę i koniki, ujawniając w tych dziedzinach pewną znajomość rzeczy.

Młodszy od pani o kilka lat starszek, zwany, zależnie od okoliczności, to lokajem, to ogrodnikiem, z zamiłowania był pszczelarzem, nie obawiając się ukąszeń złośliwych tworów. Dzięki tej właściwości może jak nikt potrafił wychodzić obronną ręką z opresji w domu, w którym niepodzielnie panowała kobieta o Argusowym spojrzeniu. Snuł się cichutko po domu, znakomicie przystosowany do okoliczności. Ostatnio biedaczek bardzo podupadł na słuchu, zawsze jednak był ruchliwy i zazdrosny o funkcje, które od lat wielu sprawował.

Drugi „oficjalista”, cudownie dwojąc się i trojąc, pełnił liczne obowiązki majstra do wszystkiego, wielkorządcy i polowego. Obchodząc na życzenie pani dobra stwarzał iluzję jeszcze aktualnego stanu morgów — istniejących na starej mapie. Jego pasją było udać się na łowy z pojedynką w zanadrzu.

Z budynku krytego trzcina dochodziły odgłosy pozostałego nielicznego już inwentarza. Tu rozciągał opiekę eks-stangret, pamiętający czasy kiedy to ho... ho...!

Mają stawkę ze sławnymi (na półmisku) kaskami (laski, karaski i piaski) i jedno już tylko niepomiernie wydłużone półko na granicy hrabskich włości, to było wszystko, co musiało wyżyć owo grono ludzi i starczyć na potrzeby dziedziczki, która nie chciała pogodzić się ze zmianą sytuacji i zmniejszyć wydatków na reprezentację i dość kosztowne upominki.

Była zima. Przed dwór, zwany pałacem, zajeżdżała karoca na saniach. Jasnie pani jedzie odwiedzić grób małżonka. Kiedy przed bramą cmentarną zatrzymała się sanie i bardzo powoli zaczęły się z nich wydobywać opatulone postacie pani i sługi, stojąca w pobliżu starszka ułękła i, złożywszy do modlitwy ręce, zaczęła odmawiać pacierze za zmarłych. Tyle było nie-reality w wyglądzie i chodzie tych dwóch starych postaci, że wzięła je za duchy przybyłe na cmentarz. Po chwili karoca, nie zakłócając ciszy, rozpoczęła dalszy swój pochód w stronę plebanii. Lubiała starszka proboszcza, gdyż miał pogodną usposobienie. Nie może darować mu jednak zbytnej pobłaźliwości. Kiedy w zawstyżeniu zeznała przy konfesjonale o dokonanej transakcji (indywiczki okazały się indokami), taką przerwał jej uwagę:

„Mieli oczy!” Grywa też z świętobliwym mężem w gapiówkę na pacierze. Nie lubiła przegrywać. Toteż kiedy w dniu tym odkryła feralną dziewczynkę, chytra kobieta wywołała zamieszanie, z którego łatwo można było skorzystać.

— Nie podobało mi się ostatnie kazanie. Płakał proboszcz rozkładając się nad rzekomą dobrocią jakiejś tam baby, a lud milczał. Powinno być na odwrót. Niech oni płaczą!

— Trudno ich dziś poruszyć — próbował bronić się starszek.

— Nie mówią o tym, że ta dobroć połączona z głupotą jest jak tort w urnale!

Zacny kapłan aż się skurczył z wrażeń i swym zwyczajem przymknął oczy. A wtedy feralna karta powędrowała na spód talii. Tylko uśmiech zdradził pozornego ślepeca.

— Szanowna pani tyle wyświadcza dobra ludziom.

— Przesada!

— Różne dary, karaski...

— Za które dobrodziej chciał płacić!

— Za co otrzymałem bezstanie i to jakie! A pierniczki...

— Należą się — odparła z wieloznaczącym uśmiechem.

I znów na stole leżała dziesiątka, kiedy w jej rękę odkrył się walet. Tym razem jednak oczy księdza upilnowały karty.

Imieniny jasnie pani zbiegły się w tym roku z jakoby setną rocznicą jej urodzin. Już na dwa dni przed uroczystością solenizantka poleciła przenieść swój tron do wybielonej kuchni. Tam, znakomita gospodyni, dyryguje personalnym zebrałym w komplecie. Starszek, na którego pada cały ciężar obowiązków lokajskich, szykuje zastawy stołowe, czyniąc to ostentacyjnie. Nie dosłyszysz jednak uwag dyrygentki, o dziwo, w tym jedynym wypadku

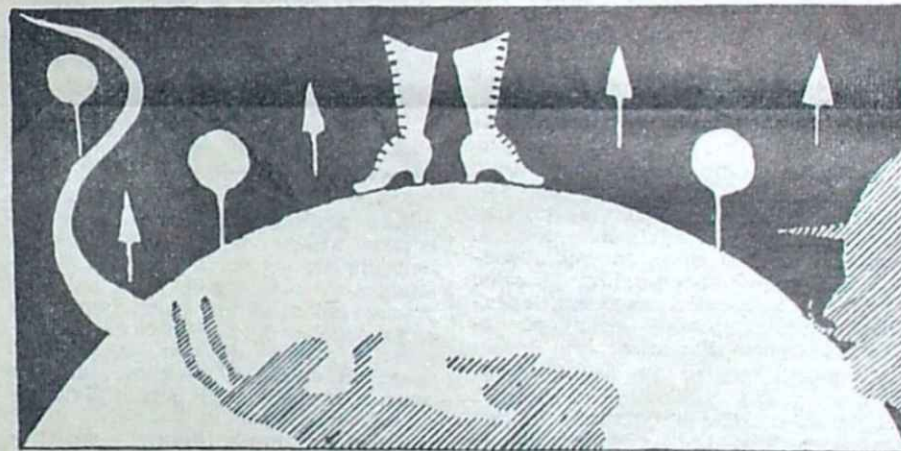
dotadki trzeźwych, ludzi. Jubilatka siedzi sama na przybranym w kwiaty fotelu. Po jej prawicy — tradycjonalista proboszcz. Po lewicy — liberalizujący lekarz. Gospodyni stara się równomiernie obdzielić rywali to miłym słówkiem, to smacznym kąskiem. Proboszczowi przez mankament jej wzroku dostaje się noga zamiast skrzydła. Wywołuje to srogi mars na czole obdarzonego. Świetna gospodyni syca się tryumfem swej kulinarnej sztuki. Je sama, jak by jej wprawiono żółdek dwudziestolatki. Nachyla się do ucha proboszcza, który już zdołał sobie powetować straty. Cytuje wierszyk do niej przed laty pisany przez głośniego epuzera. Przysłany w koszu rydzów tak się zaczynał:

Posyłam pani  
Najdroższej Ani  
Owoc lasów obfitości  
Pracę mojej młodości.

A intelektualistę wygłasza czterowiersz w tymże czasie otrzymany:

Ostry ma języczek  
Niby żądło osy  
Nie minie ją los  
Przysłowiowej kosy.

Proboszcz, o dziwo, staje się coraz bardziej czerwony, a postępowiec bieleje. Na lokaja ucharakteryzowany pszczelarz mocuje się z butelką piwa. Jakiś humorysta woła: „Palcem!” Palec biedaczka posłusznie wędruje do butelki. Ogromny śmiech hamuje dalsze zapędy nieszczęsnego. Znika z pokaju, by za chwilę powrócić z miną człowieka, który jutro idzie pod sąd. Śmiech miesza się z zachwytem znakomicie nakarmionych ludzi. Proboszcz, by „dać wyraz” dzwoni w napełniony kieliszek. Mowa rozplywa się we łzach sentymentalnego człowieka, przywyk-



hamującej swą irytację. Nie dowiódł kobiety, a nie uznaje żadnej słabości. Wle o tych przywarach stary pszczelarz, biegły w sztuce obcowania z kąśliwymi istotami: zaatakowany podtyka pod oczy ślepieckiej jakiejś pismo, wiedząc, jakie to dla niej upokorzenie.

W pamiętnym dniu drżą szyby w starym dworze od zajeżdżających pojazdów. Solenizantka w koronkach wygląda jak marzenie portrecistów. Zwany lokajem związa się jak przysłowiowy piskorz. Nagle zatrzymuje go groźne spojrzenie „carycy”. Śięga po guziczek w znanym dobrze starszym panom miejscu. Zapięty. Słyszysz straszliwy szepot do ucha: „krawat, bałwanie!” Tracąc głowę pędzi, by za chwilę powrócić z białą muszką na tacy. Wszyscy duszą się ze śmiechu, oprócz pary starszków. Ale już ktoś ścisną powracającą do uśmiechu jubilatki. Na salę wkracza Jacunio. Długie jego buty i wąsy świecą jednakim blaskiem. Nie wita się z nikim. Jest imponujący w swej nonszalancji. Ręce w rąftach. Nie rozstaje się z fajeczką. Potrafi też nie dostrzegać wdzięczących się do niego ludzi. W swej hardo wzniesionej kształtnej głowie przypomina ten syn starego człowieka jednak swą gromowądną matką. A ona nie przejmując się teraz zachowaniem syna, uważając je za naturalne. Z powodu swego słabego wzroku popełnia liczne gafy. Pewnej lekkomyślnej damie, biorąc ją za inną osobę, wymawia żartobliwie jej nazbyt świętobliwy tryb życia. Zaś lekarza bigamistę, biorąc jego długi surdut za sutannę, chwali za cnotę. Wreszcie kolacja zbliża czujących się na razie nieswojo w tym gronie, w

tego do uroczystości pogrzebowych. Nie bez trudu wstaje lekarz. Zaczyna górnolotnie, by zakończyć dwuznacznikiem różnie komentowanym. Aż wreszcie dobrał się do głosu alkoholik, znakomitość w swoim rodzaju. Po wygłoszeniu szeregu wspaniałych nonsensów siada syt chwały wśród salwy oklasków. Towarzystwo śpiewa 200 lat! Za oknami rozlegają się mocne strzały z czterokonnymi batów. Jacunio teraz dopiero, kiedy zapachniało stajnią, czuje się w swoim żywiole. Pewnym krokiem podchodzi do okna i przemawia językiem zrozumiałym dla furmanów. Umiejętnie wyrzucony przez okno frua banknot. Jacunio siada z miną człowieka, którego rozpięra duma. Sądziad jego nagle posmutniał. Jacunio spojrział wnikiwie i na ten objaw ludzkiego cierpienia parsknął śmiechem, od którego nie powiało weselem. Ludzie już potracili głowy, a on jak nigdy przytomny zagląda im w oczy bez ceremonii i czyni głośno jakieś uwagi, puszczając kłęby dymu tam, gdzie wyczuwa przez swą wrażliwą skórę ludzką nieprzychylność. Lepi galki z chleba, by je rzucić na urojonego wroga.

Awantura wisi w powietrzu. Wtem wkracza już podniesiony na duchu starszek z ofiarowanym przez Nowobogackich szampanem. Jacunio przychodzi. Smakuje. Alkoholik pije zdrowie fundatora. Wzruszający moment, kiedy najbogatszy człowiek w okolicy tręca się kieliszkiem z do niedawna spontanicznym agresorem. Awantura zażegnana. Potomek starego rodu schyla głowę korząc się nie wiadomo, czy przed poległą złotego cielca, czy też

przed płymem, który wprawia go w szampański humor. Bogacz różnie jęszcze bardziej w ludzkich oczach. Duma z kolei rozpięra teraz jego pierś.

Po kolacji rozmarzony starszy pan zasiada do fortepianu. Jacunio kiwa w takt głową nie przeszkadzając ludzkom oddawać się słodcy walca. Taniec porywa wszystkich ludzi. Nawet jubilatce poweselał zachodzące bielmem oczy. Stąpa krokiem tanecznym.

Rozjeżdżają się nad ranem. Lokaj sili się podać piasek możnemu gościowi. Ten niedbalym gestem sięga do kieszeni. Następuje moment, który elektryzuje ludzi. Napiwek jak los na loterii jest wielką niewiadomą. Bogacz daje co mu popadnie pod palec. Raz wyjmie grosze, drugi raz uszczęśliwił cenną monetą. Starszek nie może pohamować ciekawości. Zajrzał i zawlezione nadziewać wytrącając mu z rąk kapelusza potentata. Chichot Jacunia likwiduje zajęcie.

Nazajutrz i dni następnych ostatni potomek rodu chodzi dziwnie podniecony. Przesztaje pośpieływać, zamyśla się — co dawniej się nie zdarzało.

— Co ci jest? — zapytuje matka.

— Oni się śmieją, a przecież to się źle skończy — odpowiada nieprawdopodobnie przytomnie. Popatrzyła na niego uważnie i tak orzekła:

— Głową muru nie przebijesz.

Trymuf jubileuszowy, o którym tak długo rozprawiają okoliczni ludzie zakończył okres pomyślności. Zaczęła się seria niepowodzeń.

Kiedys wynikiła awantura. Hrabiska służba leśna przyłapała amatora emocji myśliwskich na upolowaniu zajęzka tuż za granicą posiadłości wiekowej pani. Hrabia miał „zajązka” w głowie, uważając każdego okolicznego czworonoga żyjącego w stanie dzikim za swoją własność. Majster do wszystkiego uciekając od pogoni dobiegł do swego podwórza, gdzie został rozbrojony przez ścigających i nieco pokiereszowany. Dziedziczka z okna śledza przebieg zajęcia. Przemyślała ona oczy na kłusownicze wyprawy faworyta, ciesząc się z psikusów urządzanych zachlannemu sąsiadowi. Comber, z którym wraz z synkiem rozprawiała się na jednym posiedzeniu, też wchodził tu w rachubę.

Stara kobieta czuje się teraz bezsilna, wiedząc, że prawo jest po tamtej stronie, lecz duma jej cierpi. „Jak to na jej podwórzu, w jej oczach taka infamia!” W tym momencie wpada do pokoju wzburzony Jacunio z starożytną guldynką. Z okrzykiem: „Bandyci!” celuje przez okno. Matka stara się wyrwać mu broń z ręki. Mocują się, pada strzał kładąc trupem laszącego się kota. Przerazająca śmierć pieszczoła wytrąca broń z ręki oszalałym ludziom.

Hrabstwo, po zamieszkaniu w swych dobrach nie złożyli wizyty sędziwej małżonki zasłużonego człowieka. Przyczyniła się do tego zapewne wersja o uprawianiu kłusownictwa przez „oficjalistę” sąsiadki. Kiedy Nowobogacy, nie mogąc doczekać się wizyty utytułowanych sąsiadów, sami do nich pojechali złożyć uszanowanie, stara nie posiadała się ze złości. Zabłysły jej oczy złośliwą uciechą, gdy jej doniesiono, że hrabstwo rewizytowali „dorbobków” dopiero po 10 dniach, co należało uważać za brak zachęty do utrzymywania dalszych stosunków. Niezrażeni tym Nowobogacy zdołali jednak drobnymi przysługami pozyskać sobie względy arystokratów. „Dorobki”, nie dotknięci manią wielkości, pragnęli koniecznie wyjść z pozycji, którą w wyższych sferach określało się mianem „drugiego stołu”. Już po ostatniej awanturze dowiedziała się jasnie pani od swej dawnej pokójówki, obecnie na służbie utytułowanych sąsiadów, o fakcie mocno ich ośmieszającym już nie tylko w oczach liberala. Będąc w Warszawie, nieutytułowani pobiegli do utytułowanych, by złożyć im swoją czolobitność w ich stołecznej rezydencji. Przyjęci zostali bardzo ozięble, a potem hrabina miała się wyrazić do swej przyjaciółki: „Głupi, nie rozumieją, że są dobrzy na wsi, ale nie tu, w stolicy”. Jasnie pani przyjęła tę wiadomość śmiechem, zapożyczonym jakby od synka. Cała grandezza ją opuściła i czym prędzej kazala zabrać do karocy, by udać się do Nowobogackich. Spotkał ją jednak zawód. Bogacze, nauczeni już sztuki dozowania uprzejmości, przyjęli z chłodną rezerwą „nie sprawdzoną wiadomości” pochodzące od pokojowej. Wizyta trwała krótko i była jeszcze jednym ciosem dla zawziętej kobiety.

Nazajutrz okolica zostaje zaalarmowana nową wieścią o zasławnym incydencie na granicy wrogich sobie obywateli. Hrabia objeżdżając włości dostrzegł sunącego „oficjalistę” z bronią



# NOWA INFORMACJA o stosunku Prusa do socjalizmu

(Dokończenie ze str. 3)

pagujący wśród Polaków rewolucję socjalną, potraktowany został przez Prusa z sympatią jako człowiek idei i nieposzlakowanej uczciwości, przy czym poglądy jego nie uległy na ogół tendencyjnemu zniekształceniu. Fragmentaryczność „Przemian” uniemożliwia usytuowanie ideologiczne i pełniejszą ocenę tej szeroko zakrojonej powieści („Realizm krytyczny Bolesława Prusa”, Wrocław, 1950, s. 74).

Cytowane informacje aż nadto dobitnie świadczą, jak fałszywe były i symplicystycznie wulgarnie niektóre sądy z „minionego okresu”, pozwalające sobie nazywać Prusa endeckim publicystą i powieściopisarzem, i to w czasie, kiedy także zadzieki krytyk, S. Pietrow, pisał następująco: „Prus — w swej ostatniej niedokończonych powieści pt. „Przemiany” (1911, 1912) — opisuje z głębokim współczuciem działalność polskich i rosyjskich rewolucjonistów, z głęboką sympatią ustosunkowuje się do idei socjalizmu” (Przedmowa do rosyjskiego przekładu „Sierocyj doli” przez J. Mirską, Moskwa, 1954).

2. W sukurs przytoczonym informacjom idzie świadectwo Gustawa Wolffa, który przez wiele lat stykał się z Prusem w warszawskiej księgarni „Gebethnera i Wolffa”, będącej wydawcą wielu dzieł autora „Lalki”. Gustaw Wolff (1872—1951), zasłużony księgarz-wydawca, tłumacz i działacz kulturalno-społeczny, był synem Roberta Wolffa, który w r. 1857 wespół z Gustawem Gebethnerem założył znaną księgarnię wydawniczą w Warszawie. (Obszerniejszą notatkę o działalności pisarskiej Gustawa Wolffa zamieścił „Tygodnik Powszechny” w nr 5 z dnia 3 lutego 1952 r.).

Świadectwo Gustawa Wolffa o stosunku Prusa do socjalizmu znajduje się w jego liście do Juliusza Kleinera, datowanym z Krakowa, dnia 20 lutego 1946 r. Profesor Kleiner, przebywający podówczas w Lublinie, przekazał mi ten list dla skomunikowania się z jego autorem. Na moją prośbę o zezwolenie na wykorzystanie wspomnień o Prusie Wolff odpowiedział: „Profesor Kleiner życzliwie ocenił moją „przesyłkę” i proponował, abym wspomnienia uzupełnił i ogłosił. Jednak od

uczynienia tego powstrzymują mnie pewne względy, pewne skrupuły charakteru raczej moralnego. Wspomnienia moje o człowieku tak wolnego i indywidualnego ducha, jak Prus, mogłyby być uważane za czyn charakteru koniunkturalnego przez jednych, a wyzyskane w celach koniunkturalnych przez drugich. To by dla mnie był wielki cios moralny. ...Dlatego nie chciałbym stracić swojej „twarzy”, jak mówią Chińczycy, przez wybór obecnej chwili (podkreślenie G. Wolffa) na ogłoszenie swoich wspomnień... proszę Pana o skorzystanie z mego listu pisanego do profesora Kleinera, w sposób, który by nas obu, jak przypuszczam, nie postawił w położeniu niedosyć wyraźnym”. W następnym liście, datowanym z Krakowa 4 listopada 1946 r., G. Wolff zezwala mi na wymienienie jego nazwiska przy podawaniu do publicznej wiadomości wspomnień o Prusie.

Po upływie 14 lat od czasu tej korespondencji, a lat dziewięciu od śmierci autora wspomnień, uważam się za całkowicie upoważnionego moralnie do opublikowania owych informacji w tak ważnej sprawie, jak stosunek Prusa do socjalizmu.

3. Tekst wspomnień Gustawa Wolffa: „Przed wszystkim muszę wyjaśnić, iż stosunki moje z Prusem, jak później z Zeremskim, choć nie zażyłe, były dobre i szczerze z jednego względu. Prus wiedział, że w Uniwersytecie Krakowskim należałem był do Kola Młodzieży Postępowej, a w Warszawie obracałem się, jako uczestnik „Uniwersytetu Łatającego” w sferach radykalnych z Ludwikiem Krzywickim na czele. Walkę ideową tej grupy dobrze zobrazował Grabiec w książce swej „Czerwona Warszawa”. To nas zbliżyło z Prusem, który niezależnie od stałych i bliskich stosunków osobistych z konserwatywną ówczesną czuł się w tym środowisku raczej odosobnionym ideowo. Musiał pisać w „Kurierze Warszawskim”, „Kurierze Codziennym” i „Tygodniku Ilustrowanym”, czyli w starej prasie, choć poglądy jego i dążenia często kolidowały z poglądami tych pism i gdy chodziło o ustosunkowanie się do ważnych zagadnień politycznych i społecznych, powodowały nawet ostrą opozycję redakcji, zagrożonej odruchem opinii społecznej, rozgoryczeniem obustronne i żale. Pamiętam burzę, jaką wywołała teza Prusa w drukującej się „Lalce”, że dla konsumenta polskiego rzeczą obojętną jest, czy się ubiera w perkaliki moskiewskie czy fabrykowane w kraju, o ile perkaliki są tańsze przy równej wartości. Jako motywy przytaczał obcość kapitałów i żywiołu fabrykanckiego. Było to stanięcie na gruncie państwowości ówczesnej — poroźbiorowej, na tle doktryn ekonomicznych prowadzących jeszcze dalej, bez pogłębienia, zdaniem moim, istoty sprawy, co zresztą w ówczesnych warunkach i w po-

## O MALARSTWIE L. BORNEMISZY

ZBIGNIEW JAKUBIK

Staraniem Wydziału Kultury Prezydium WRN w Lublinie, Lubelskiego Domu Kultury oraz filii Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki zorganizowana została w listopadzie na Zamku Wystawa prac Laszlo Bornemiszy z Budapesztu. Nieoficjalnie — w pracach przygotowawczych udział brali członkowie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, które znajduje się w stadium organizacji. W kilka dni po otwarciu wystawy odbył się w Klubie MPiK odczyt dr Tibora Csorby o współczesnym malarstwie węgierskim, a następnego dnia w LDK na Zamku dr Tibor Csorba oprowadzał zebranych gości po wystawie L. Bornemiszy i wygłosił prelekcję o malarstwie swego rodaka.

Notka biograficzna: Bornemisza Laszlo, poeta, malarz. Ur. w 1913 r. w okolicach Debreczyna. Przed wojną (w 1934 r.) debiutował tomem „Wierszy”. Współpracował z miesięcznikiem węgierskiej lewicy artystycznej „Kelet Nepe”. Po wojnie mieszka w Budapeszcie. Wystawiał swe

wieści byłoby dość trudne. A później znowu w walce o szkołę polską stanowisko Prusa, odważne i szczerze, a kolidujące z tendencjami znacznej większości uświadomionego społeczeństwa, również spowodowało rozdziewki i protesty...

Z tego okresu zachowałem w pamięci następujący epizod. Podczas wizyty swej w Księgarni Prus zagadnął mnie o nowiny. Zakomunikowałem mu o nowych znacznych aresztowaniach. Gdy na pytanie jego, kogo aresztowano, odpowiedziałem, że narodowców, Prus odparł: „Wie Pan, jak się dowiaduję, że aresztują socjalistów, to naprawdę serce mi się ścisła, bo tamtych...” i tu wymownie machnął ręką.

W związku z tym pamiętam drugi jeszcze epizod. Prus zaczął mnie w Księgarni o „Czerwony Sztandar”. „Czy nie macie nut?” Poszliśmy do składki nut, od ul. Czystej — nuty znalazły się i korzystając z chwilowego braku publiczności, jeden z pracowników, obdarzony dobrym głosem tenorowym i muzykalny, zagrał i zaśpiewał Prusowi wszystkie zwrotki. Prus, z założonymi w tył rękoma, słuchał pilnie, po czym z przejęciem (podkreślenie Gustawa Wolffa) powiedział półgłosem: „No, patrz pan, to oni już i muzykę swoją mają!”

Biedny Prus — dramatem jego było niewątpliwie to odosobnienie od środowiska, gdzie wyraz „socjalizm” budził nieraz grozę. A on, choć na swój indywidualny sposób, coraz więcej się do socjalizmu zbliżał. Nikomu o owych przeżyciach nie mówiłem, a nie wiem, czy dzisiejsze pokolenie zdaje sobie dostatecznie sprawę z tej przysusowo trochę fałszywej pozycji, w jakiej były wówczas obie strony. Mogę dodać, że prócz oportunizmu, który redakcją kazal niekiedy przeciwstawić się drukowaniu pewnych artykułów Prusa z obawy przed opinią publiczną, grały rolę w takich wypadkach istotne, szczerze przekonania redakcji o szkodliwości idei, których Prus był wyrazicielem, a których ze względu na bardzo indywidualny sposób myślenia, nie miał gdzie drukować.”

4. Świadectwo Gustawa Wolffa nie wymaga wyjaśnień ani interpretacji, jest jednoznaczne i wyraźnie uzupełnia wypowiedzi samego Prusa o socjalizm, zarówno publicystyczne, jak i obrazowe w „Przemianach”, co w sumie pozwala ustalić stosunek Prusa do socjalizmu jako sympatyka z rezerwą, lecz pełnego podziwu i pokładającego w nim nadzieję w rozwojowym dążeniu do sprawiedliwości społecznej.

Feliks Araszkiewicz

prace w Debreczynie i Budapeszcie. L. Bornemisza bawi od końca października br. na Lubelszczyźnie. Do Polski przyjechał na zaproszenie naleźcow-skiego plastyka J. Olejnickiego.

Salka wystawowa na Zamku, która jest jednocześnie siedzibą nowo otwartego Klubu, nie może pomieścić zwiedzających. Na ścianach niewielkie obrazy w skromnych ramach: olej, tusz, ołówki. Malowane na kartonie. 27 prac związanych tematycznie z Lubelszczyzną — plon dwutygodniowego pobytu artysty węgierskiego w Polsce.

Ogólne wrażenie: malarstwo sciszone, proste, sprowadzone do elementów podstawowych. Nie ma tu mowy o rozproszeniu uwagi widza.

Rzeczywistość, traktowana przez węgierskiego plastyka wyłącznie jako system bodźców o różnym zabarwieniu emocjonalnym, staje się pretekstem pozwalającym na komponowanie wizji uzupełniających, strukturalną ramą, która w zaciśniętym obrębie plastycznej materii modelowanej przez twórczą wyobraźnię i porządkujący intelekt artysty.

Na tej samej zasadzie budowany jest świat baśni ludowej — rzeczywistość przekonstruowana w myśl kilku podstawowych reguł kompozycyjnych: wyższej sprawiedliwości, celowości, porządku, piękna. Każdy obraz węgierskiego plastyka jest „czytelny”, posiada fabułę, anegdotę, a jednocześnie każdy jest propozycją, skierowaną pod adresem widza, kuszącą propozycją powrotu do kraju lat dziecińczych, restytucji doznań czystych, naluwnych i świeżych.

Oto geometryczno-barwny sen o Kazimierzu, obcym, nieznanym pejzażu, budowanym z kolorowych klocków w ciszy dziecinnej pokoi. („Przyśnił mi się Kazimierz”). Oto nowoczesna dziewczyna z kawiarni, „czerwona dama” XX wieku. („W czerwonych ponczochach”). Oto koronkowa, orientalna architektura w sercu Polski plastowskiej („Rynek w Kazimierzu”). Oto seledynowy, kamienny świt, który każdy z nas raz przynajmniej w życiu przeżył w zaczarowanym, wyludnionym Lublinie przed wschodem słońca.

# OLIMPIADA OD DOŁU

(Dokończenie ze str. 5)

— O, to dość pospolity widok — poinformowali mnie znajomi. Z niedopalków wykuskują tytoń i sprzedają go fabrykom papierosów. Dorabiają sobie w ten sposób. Czyni to nawet zubożała inteligencja. Tym bardziej, że Rzym jest miastem drogim.

Z uzyskanych informacji wynika, że najniższe wynagrodzenie pracownice wynosi sześćdziesiąt tysięcy lirów miesięcznie, bez potrąceń, w przeliczeniu jest to prawie sto dolarów. Licząc po naszym kursie dla paczek PKO (72 zł) wyniesie to 7.200 zł. A więc dużo, bardzo dużo, jak na nasze stosunki. Ale czynsz miesięczny za dwa pokoiki z kuchnią wynosi trzydzieści tysięcy lirów, a obiad w druzgrodnej restauracji wynosi przeciętnie 1500 lirów.

Chciałem w Neapolu zjeść taką typową neapolitańską potrawę: pasta asciutta con le vongole, czyli mówiąc po ludzku — makaron z ostrymi. Właściciel małej, ale miłej restauracyjki odradzał.

— Nie mam dziś świeżych ostrzy.

— No to proszę do prostu spaghetti al burro parmigiano.

Przyniósł wielki, dymiący półmisek tego włoskiego specjału z kawałkami świeżego masła i z niezwykle intensywnym w kolorze sosem pomidorowym.

Postawił i pyta: — A co pan zamawia?

— No właśnie spaghetti.

— To — uśmiecha się (Włosi w każdej sytuacji uśmiechają się pogodnie) — to nie jest danie. To bezpłatny dodatek do zamówionej potrawy.

— A co mi pan dobrego poradzi?

— Może być befsztyk. Ręczę. Znako-

mity.

Quanto costa — pytam nauczony doświadczeniem.

Tylko 1500 lirów.

A więc dwa i pół dolara, a więc prawie dwieście złotych. Za tę sumę w Polsce zjem dziesięć befsztyków. Dużo trzeba zarabiać, żeby żyć w dużym mieście włoskim. Walka o grosz jest twarda. Zrozumiałe staje się zbieranie niedopalków, zrozumiałe uderzanie po kieszeniach.

Trudno zwiędzać Włochy z głową wciąż pochyloną. Nie można ciągle podglądać życia od dołu. Od czasu do czasu trzeba się wyprostować i popatrzyć w górę na ludzi, architekturę i krajobraz. (c. d. n.)

Wacław Gralewski



WOJCIECH SUŚWIŁO

Alegoria

Mrówki oblażył stary zegar  
Po dwunastu apostołach  
Wydeptują trakty  
Wzlatują na melodiach kurantów  
I stracone opadają między takty

(„Lublin o świecie”). „Spacer wieczorem” i „Na wystawie psów” — to zniekształcone przez sen wizje fauny ludzkiej — ssaków śmiesznych, strasznych i niezrozumiałych.

Wywiad z węgierskim gościem w hotelu „Lublinianka”, mimo znacznej trudności w sprawnej i ścisłej wymianie informacji (Bornemisza nie zna polskiego, po niemiecku mówi równie słabo co niżej podpisany) dorzucił garść dodatkowych szczegółów z życia i planów artysty:

Powrót do Budapesztu i zorganizowanie „lubelskiej” wystawy, następnie Paryż, w lecie zaś jeszcze raz Polska i wystawa w Warszawie. Dalsza działalność plastyczna jasno skryształizowana: portret psychologiczny człowieka XX wieku. Szyfr niepokoju, dotychczas nie odczytany. Z „fotogramów” wyobraźni, „fotogram” najbardziej zagadkowy! Zyczymy Koledze węgierskiemu szybkiego i pełnego rozwiązania owego szyfru.



# SPACERY srebrne i seledynowe

Wer der Dichter will verstehen,  
muss in Dichters Lande gehen.

Istnieją pewne dane, które zdają się wskazywać na to, iż w przyszłości oceną poezji będą zajmować się wyłącznie... cybernetycy-specjaliści. Ow szokujący dziś dla wielu profesjonalistów, nieuchronny przełom otworzy wreszcie nową epokę w krytyce literackiej, zamykając jednocześnie definitywnie obecny okres zamętu, mistyfikacji i uników. Przy obecnym bowiem stanie wiedzy humanistycznej i dominującym obecnie subiektywizmie oraz wieloznaczności kryteriów, trudno powiedzieć w ogóle coś sensownego na temat materii kształtującej tkankę utworu poetyckiego. O strukturze owej tkanki — owszem. O tworzywie — jeżeli recenzent jest uczciwy — prawie nie lub niewiele. Stąd cytat z Goethego — dobitne świadectwo bezradności, która zmusza do szukania dodatkowych podpretek. Wątpliwym zresztą punktem oparcia stać się może w tej sytuacji (z braku innych, bardziej pewnych) dziedzina biografii lub psychologii, które odgrywają często rolę amortyzatorów: łagodzą potknięcia, zapobiegają niebezpieczeństwu wychylenia się, niwelują skutki zbyt silnego przegięcia pałki, zabezpieczają przed upadkiem z obłoków na ziemię etc.

W konkretnym zaś wypadku, o którym recenzent chce mówić, pozwalają sformułować tezę stwierdzającą pełną tożsamość jakościową między liryczną materią utworów zaprezentowanych w „Spacerach” a treściami determinującymi świadomość ich lubelskiego autora. Mowa o Zygmuncie MIKULSKIM i zbiorce jego wierszy SPACERY LUBELSKIE, wydanym jako V tom „Biblioteki poetów lubelskich” przez pożyteczną LSW.

Liryczna tożsamość, o której wyżej, rozumiana jako zjawisko w pełni realne, wyjaśnia jednoznacznie i do końca to, co nazwać by można problemem poezji Z. Mikulskiego. Środowisko lubelskie wie, o co chodzi.

Mikulski jest poetą świadomym, odważnym i konsekwentnym. Jeżeli stwierdzimy — posługując się metaforą — że napelnia nowym winem stare naczynie, to równocześnie stwierdzić musimy, że odważnie i zupełnie świadomie podejmuje on pełne ryzyko i wszystkie konsekwencje związane z tą operacją. Znaką doskonałej ceny, jaką płacić musi za wierność swej strukturze psychicznej oraz zdając sobie jasno sprawę z absolutnej i niepowtarzalnej wysokości stawki. Taka odwaga imponuje. Taka bezwzględna konsekwencja budzi nieklamany szacunek!

Stwierdzenie wyraźnego związku między utworami lubelskiego poety a poezją Gałczyńskiego (wrażenie, które narzuca się po powierzchownej nawet lekturze „Spacerów lubelskich”) jest mechanicznym stwierdzeniem jałowej półprawdy. Jeżeli w tego typu powierzchownych spostrzeżeniach wyczerpuje się inwencja krytyki i trudny proces twórczej percepcji bardziej przygotowanego odbiorcy — współczuć należy jedynie obu stronom.

Szczegółowa analiza utworów zaprezentowanych w „Spacerach lubelskich” bez trudu pozwala stwierdzić, że żaden utwór Mikulskiego nie jest mechaniczną kalką, pastichem czy naśladowaniem wierszy Gałczyńskiego. Jesteśmy tu — jak się zdaje — świadkami niezwykłego fenomenu (zjawisko należące par excellence do rzadko odwiedzanej dziedziny psychologii twórczości i, jak dotychczas, zupełnie nie opracowane) całkowitej identyfikacji strukturalnego charakteru dwóch odrębnych indywidualności poetyckich. Do sformułowania tego, bądź co bądź, ryzykownego wniosku uprawnia recenzenta nie tylko wieloletnia obserwacja lubelskiego twórcy i znajomość jego dorobku, lecz przede wszystkim wyniki sumiennej analizy porównawczej utworów obu poetów.

Gałczyński reprezentuje zbyt specyficzny typ poezji, by można ją było udalnie naśladować. Jest to zadanie zdecydowanie przerastające możliwości najbardziej zręcznego prestidigitatora. Obserwujemy tu natomiast pełną niemal identyczność reakcji dwóch wyobraźni twórczych (po uwzględnieniu różnic skali doświadczeń i rangi poetyckiej — ale to zupełnie odrębne zagadnienie) na podobne bodźce, czego sprawdzałnym wyrazem jest — przy zachowanej odrębności sztafaży poetyckiej, problema-



Lublin — widok ogólny usz. fotografii Grochowskiego. Typ. H. 1871.

## WIEŚ ARTYSTÓW

ALINA  
TOMASZEWSKA

Starzy ludzie opowiadają, że Siennica Różana bierze swoje imię od siana, którego bogate plony od wieków dostarczają okoliczne łąki, oraz od dzikich róż, które w sadach starej wsi tworzyły pachnący, zwarty gąszcz.

Ale nie tylko różami i sianem słynie ta krasnostawska wieś o poetycznej nazwie. Latem bieżącego roku jej zespoły artystyczne obchodzą 50-lecie swego istnienia i działalności. Przy tej okazji odbyła się we wsi wielka feta, przyjechali przedstawiciele władz wojewódzkich i powiatowych, prasa, radio, masa gości. Sypnęło się trochę nagród, dyplomów uznania, indywidualnych i zbiorowych. Wojewódzka Rada Narodowa obdarowała zespoły lubelskimi strojami — są to ich pierwsze własne kostiumy. Dotychczas występowali zawsze w pożyczanych, po prostu nie stać ich było na własne. Korzystali więc z szatni lubelskiego Teatru, Stowarzyszenia Teatrów i Chórów Ludowych, Domu Kultury w Krasnymstawie itp.

Ile właściwie amatorskich zespołów artystycznych ma Siennica Różana? Policzmy: chór męski, chór mieszany, zespół teatralny, orkiestralny (w skład tego ostatniego wchodzi także kapela ludowa, która często występuje zupełnie osobno), strażacka orkiestra dęta oraz zespół pieśni i tańca. Istnieją jeszcze także zespoły dziecięce, działające przy szkole. Jak na jedną wieś — to doprawdy bardzo dużo.

A zaczęło się wszystko dawno, dawno temu, kiedy samolot był zjawiskiem bardzo rzadko spotykanym i przerażającym, radio ledwie zaczynało gdzieś w świecie stawić pierwsze kroki, a o lotach na Księżyc myśleli chyba tylko mali chłopcy czytający z zapałem książki Juliusza Verne'a. Natomiast bardzo wiele gorących głów roilo o wielkiej wojnie, która wskrzesiłaby znowu wolną, niepodległą Polskę. W miastach i wsiach szerzył się jak epidemia ruch robotniczy i ludowy. Był rok 1910. W Siennicy Różanej — jednym z ośrodków ruchu ludowego na Lubelszczyźnie — jak co roku pachniało sianem skoszone na łąkach, pachniały róże w sadach. Niezwykle było tylko jedno: rozpoczęły się próby świeżo utworzonego chóru chłopięcego. Niedługo pozostał on chłopięcym. Wkrótce zaczęli śpiewać również mężczyźni. A w dwa lata potem powstał w Siennicy Różanej zespół teatralny pod kierownictwem Jana Zarazy. W tym samym mniej więcej czasie rodzi się też kapela. Płyną lata. Pierwsza i druga wojna światowa. Rok 1945 jest datą narodzin najmłodszego siennickiego zespołu — pieśni i tańca.

tyki oraz lokalnego kolorytu — tożsamy rytm wewnętrzny wiersza, sposób obrazowania, metoda wersyfikacji oraz nasycenie utworu aż do granic emocjonalnej wytrzymałości ja lirycznym twórcy, w konsekwencji zaś swowista deformacja emocjonalna przedstawianej rzeczywistości.

Gdybyśmy nie mieli Gałczyńskiego, poezja lubelskiego poety byłaby może o ton uboższa, proces krystalizacji jego osobowości dłuższy i trudniejszy, charakter jednak poezji Mikulskiego i jej specyficzność pozostałyby chyba zachowane.

Hold pośmiertny złożony przez lubelskiego kolegę mistrzowi Konstantemu w wierszu pt. „Promień”, zamykającym tom jest pięknym holdem indywidualności bliźniaczej.

Z. J.

Różne koleje przechodziła wieś. Bywało głodno i po partyzancku bohatercko, bywały lata urodzaju i lata klęski, różnie przedło się życie w białonych, siennickich chatkach. Jedno tylko pozostawało niezmiennie: umiłowanie sztuki. Kiedy nadchodziły długie i mroczne listopadowe wieczory, do szkoły lub do któregoś z domów schodzili się ludzie opętani miłością do sztuki — na próby zespołów. Przychodzili młodzi — niemal dzieci — piętnasto i szesnastolatki, przychodzili ludzie w sile wieku, przychodzili wreszcie starzy, niosący na swych barkach już siódmy krzyżyk. Wielogłosowy śpiew płynął w mrok do późnych godzin nocnych.

Piękna jest nasza wieś,  
Piękne w niej lany zbóż,  
Uprawia je znojnje lud,  
By naród miał co jeść.

Piękna jest nasza wieś,  
Piękne są w niej wieczory,  
Ciche. Spokojne.  
Doleci tu śpiew z rechotem żab  
i bocian zaklaszcze gdzieś.

Piękna jest nasza wieś,  
Piękne tu łąki kwitnące.  
Stogi siana i róże pachnące,  
Taka jest nasza wieś kochana.  
A jaka to będzie wieś?  
Siennica Różana.

Taki wiersz o swej wsi napisał Jan Muda — jeden z tych ludzi, którzy nie miało przyczyni się do rozławiania Siennicy Różanej nie tylko na całą Lubelszczyznę, ale i daleko poza jej granice. Jan Muda, rolnik z Siennicy Różanej, śpiewał w chórze niemal od dziecka. Po skończeniu szkoły powołanej i kursu dla dyrygentów chóru (organizowanego przez Stowarzyszenie Teatrów i Chórów Ludowych w Lublinie) w roku 1934 zaczął prowadzić siennicki zespół. Myliłby się jednak zupełnie ktoś, kto by sądził, że chór pod batutą Jana Mudy śpiewa sobie ot tak, unisono, z „bożej łaski”. Członkowie zespołu pracują bardzo poważnie nad wzięciem dziedziny sztuki, jaką jest śpiew. Uczą się solfeżu — wszyscy umieją śpiewać z nut. Dyrygent często opracowuje pieśni, rozpisując je na cztery, a nawet i sześć głosów. Poza tym sam komponuje piosenki oparte o miejscowy folklor. Te piosenki znane są już w całym kraju. Spularyzowało je radio warszawskie nadając np. „W polu lipenka” w wykonaniu chóru z Siennicy.

Nie na tym jednak koniec sukcesów. W roku 1949 na ogólnopolskim konkursie pieśni radzieckich w Warszawie zespół zajął drugie miejsce.

Stefan Truszkowski pracuje w zespole teatralnym z prostego zamilowania. Początkowo był aktorem. Od 1927 r. reżyseruje sztuki, a przy okazji maluje dekoracje itp.

Ciekawym zjawiskiem jest to, że poszczególne zespoły siennickie nie zasklepiają się wyłącznie we własnym, ciasnym kręgu, ale często współpracują ze sobą, dzięki czemu mogą wystawiać sztuki muzyczne, a nawet... nawet operetki. I tak wspólnym wysiłkiem, ku ogólnemu zadowoleniu, pokazano publiczności np. „Jagusia płacze — śmieje się Jaś” Pobratymca, „Karpackich górali” Korzeniowskiego, a także cieszącą się chyba największym powodzeniem „Chatę za wsią” Kraszewskiego. Tę ostatnią sztukę powtarzano kilkakrotnie i przed drugą wojną i po wojnie.

Zespół teatralny ma w swoim dorobku jeszcze wiele innych sztuk: „Ojcoważna”, „Macocha”, „Swaty”, „W strasznym młynie” itd., itd. Obecnie przygotowują „Igraszki z diabłem” Drdy.

Trudności nie brakuje. Już nie tylko sprawa kostiumów. Nie ma kurtyny i kotar, remiza, w której występują, jest bardzo trudna do ogrzania — nie ma gdzie robić prób.

W ostatnich latach otoczył zespół opieką Powiatowy Dom Kultury w Krasnymstawie. Zwłaszcza pani Maria Gładkowska jest w Siennicy mile i wdzięcznie wspomiana.

Zaraz po wojnie zorganizował zespół pieśni i tańca znany w lubelskim ruchu amatorskim Józef Dzik, rodem z Siennicy Różanej. Chętnych do tańca znalazło się wielu. Uzdolnionych w tym kierunku również. I pomimo że Józef Dzik w 1949 r. wyjechał do Lublina, zespół nie rozpadł się. Działa i kwitnie stale. Prowadzenie objął po Dziku jeden z członków, Bolesław Proskura.

Trudno wliczyć wszystkie sukcesy zespołu. Będzie tu i kilkakrotna wysoka lokata na różnych ogólnopolskich eliminacjach w Warszawie, i sześciokrotne występy na centralnych dożynkach itp. A przede wszystkim mnóstwo koncertów budzących zachwyt w całej okolicy.

W kwietniu br., dla tym lepszej organizacji działalności zespołów amatorskich, utworzono w Siennicy Różanej wspólny ich zarząd. Na przewodniczącego wybrano Stefana Truszkowskiego. Z pewnością taki wspólny zarząd i energiczni ludzie, którzy w skład jego wchodzi, przyczynią się do jeszcze większego rozkwitu zespołów artystycznych w Siennicy Różanej, czego im z całego serca życzymy.

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

### Nad Inem

rozchylają się przepojone snami  
koszule młodych dziewcząt  
haftowane czarno i czerwono  
krwawy żar

gdy ciemność nocy w gwiazdzistej  
stodole  
na ostrej skóry miękkie siano  
upada namiętności czułym bólem.  
pożegnanno lata czarno-czerwony  
przypomniany mglisty chłonny  
leśny mszar —

nad rozmiędloną kitą llną  
nachyla się wezbrane łono  
zrywa się studzący wiatr.

To będzie już tak  
od czasu do czasu krople  
ślekania po powietrzu  
(czy ślę za dużo nasypało liści  
że już tak trudno przyjść ci?)

słońce nie zachodzi do lasu,  
jeszcze na lublinie złotym zaświeci —  
lubin daleko pachnie  
(pamiętasz)

potem się ludzie pochyla nad ziemią  
i będą kopać ziemniaki.



ANNA KALANDADZE

## Na wicherze

Wieher ucichł, czał się milczący.  
Lecz gdy zrywa się, przekłty, nagle,  
Jawor wlecieć próbuje ku słońcu.  
Wlejąc liściem, jak ogromnym żaglem.

Już unosi się nad ziemią jaśmin,  
Gałęziami szybuje nad polem,  
I cwałują na pegazie z baśni  
Moje piękne, szumiące topole!

## Morwa

Ach ta morwa! Niemal w dom się  
garnie,  
Niemal chce mnie poglaskać po głowie!  
Przyzwyczaję mruga nieustannie  
Przystrojona w kwiaty szmaragdowe.

Szept plyną prosto w moje uszy,  
I namiętnym żarem niepokoją...  
Morwa niemal na pokoje rusza,  
Jakby chciała objąć kibić moją...

Przełożyła Janina Brzostowska

KSIĄŻKI  
które czytamy

(Dokończenie ze str. 4)

przez autora „Niestrzeżonych progów” od początku pisarstwa z drapieżną pasją obrazu życia współczesnego Niemca, przeciętego szramą lat 1939—45. Böll ma wszelkie dane, aby stać się dobrym portrecistą tego niezbyt wdzięcznego (także w reakcji czytelników własnego narodu) modelu: wspomnianą już wnikliwość psychologa, zmysł tragika, ciętość satyryka, wrażliwość na absurd groteski. Tych zalet przykładem są również bohaterowie „Człowieka z nożami”.

Nie tylko niemieckie, ale i amerykańskie lata 1939—45 odbijają się także w „Młodych lwach” Irwina Shawa. Shaw jako powieściopisarz i nowelista chciałby niewątpliwie kroczyć i wawangardzie z Butorem, i w postępującej za nią kolumnie jędrnego realizmu psychologicznego i obyczajowego, reprezentowanego przez Bölla. Jednakże nie bez kozery „Młode lwy” stowarzyszają się z „Na zachodzie bez zmian” Remarque'a, popularną w międzywojennej Ameryce „agitką” nie tylko literackiego pacyfizmu. Wprawdzie Shaw, przebiegając dwóch ze swoich „młodych lwów” w mundury amerykańskie, trzeciego próbuje ukształtować na typ nie tyle niemieckiego, ile hitlerowskiego żołnierza, ze wszystkimi konsekwencjami takiego negatywnego artystycznego. Niestety — sam proces kształtowania nie jest konsekwentny, podobnie jak w obrazującym przecież analogiczny problem „Czasie życia i czasie śmierci” Remarque'a: przerażenie wojną okazuje się w „Młodych lwach” wyższą i bardziej wpływową instancją, aniżeli sprawiedliwość historycznego, a nawet psychologicznego realizmu. W dalszej konsekwencji zwięzłej do wymiaru sloganu „człowiek nie chce umierać” prawdy o latach 1939—45 nie mogą uratować podpatrzone u Dos Passosa i stosowane bogato w „Młodych lwach” chwytymy symultaneistyczne, zapożyczone od Steinbecka efekty sentymentalne, nawet organizująca efektywnie akcję struktura scenariusza filmowego. Mimo to, a może właśnie dlatego, „Młode lwy” cieszą się dobrą i (o dziwo!) zgodną polskich krytyków i czytelników opinią — chyba wedle zasady „na bezrybiu i rak ryba”...

Słusznie jednak taka zgoda panuje w polskiej recepcji „Naszego człowieka w Hawanie”. Graham Greene znany był u nas dotąd jako moralista i psycholog, choć już „Spokojny Amerykanin” zademonstrował na potraktowanym zresztą bardzo serio problemie etyczno-politycznym mistrzowskie opisanie przez pisarza techniki powieści sensacyjnej. Przede wszystkim taką powieścią jest też „Nasz człowiek w Hawanie”, ale jego mistrzostwo skomponowania fabuły przenika również — na zasadzie artystycznego równowagi — subtelny wątek romansowy oraz (rodem z najprzedniejszego pamfletu) drwina z angielskiego wywiadu politycznego. Oto — ważniejsza w mo-

(Dokończenie ze str. 1)

stosunku półtowarzystwim i to z księżmi młodymi. Do starych do proboszczów odnosi się wręcz niechętnie, unikając ich zdecydowanie.

Interesujące są obserwacje poczynione w ostatnich dwóch latach w sprawie urzędzenia wewnątrz domów chłopskich. Pomijam fakt, że w nowo zbudowanych zagrodach — a gołym okiem można zobaczyć, jak bardzo i jak szybko buduje się wieś — urządzenie wnętrza odbiega daleko od stereotypowych, tradycyjnych umeblowań. Prawda, że na wieś wozili się wiele standardowych, fabrycznych, często brzydkich mebli. Miejsmy o to pretensje do wytwórni, do fabryk, do PZGS, które dostarczają wsi braki, meble niechodliwe w mieście. Chodzi mi o co innego. Coraz częściej przywozi się z miasta kopie obrazów. Najczęściej są to kopie obrazów historycznych, matejkowskich, ale są, zapełniając ściany gościnnych izb i bardzo, bardzo powoli wypierają odpustowe, brzydkie malowidła. A jeśli nawet wiszą obok obrazów o treści religijnej, to i tak jest to zjawisko świadczące o chęci wprowadzenia do prywatnego życia sztuki świeckiej.

W zestawieniu z postępem laicyzacji życia w wielkich ośrodkach przemysłowych, proces ten na prowincji rozwija się bardzo powoli. Co jest jednak jego cechą szczególną?

Otóż laicyzacja, który draży dziś systematycznie życie na wsi, nie ma w sobie nic ani z owego nurtu mieszczańskiego wywodzącego się z filozofii osiemnastowiecznej, ani z tak dobrze znanego starszej inteligencji sceptycyzmu.

Laicyzm rozwijający się dziś na wsi, w niewielkich wprawdzie formach, jest ściśle związany z ogólnymi przemianami życia: z postępem w dziedzinie techniki, z nauką, z osiągnięciami na polu agrobiologii, z zasadniczymi wreszcie przemianami, jakie zachodzą per fas et nefas w psychice rolnika, którego życie wciąga w ogólny wielki nurt przeobrażeń międzyludzkich stosunków.

Jeszcze przed dwunastu laty plebanie w moich oczach spełniały funkcje sądów polubownych, aptek, gabinetów fizyko-przyrodniczych, poradni wychowawczych, agronomicznych etc.

Dziś? Ośrodki zdrowia, porodówki, pracownie stomatologiczne dokonały obrzymiej, wciąż niedocenianej rewolucji w psychice chłopca. Któż dziś na wsi nie zna radykalnych skutków penicyliny, streptomycyny, iluz to pacjentów domaga się „zastrzyków amerykańskich”, ileż kobiet żąda środków znieczulających przy porodach, któraż z nich zresztą nie korzysta z izby porodowej, wzywając na długo przed rozwiązaniem karetkę pogotowia.

A uzębienie? Wiele na ten temat mogłoby powiedzieć nasi prowincjonalni dentyści i technicy, którzy ledwie zipią, ślęcząc nocami nad masową produkcją protez. Ale w czterdziestym piątym jedynym w promieniu siedemnaście kilometrów stomatologiem był do dziś żyjący kowal. Już nawet nie śmiech, ale zdumienie i podejrzliwość

im przekonaniu od ekwilibrystyk jałowego eksperymentu — sensowna propozycja odnowienia i uszlachetnienia rozmiennego od XIX w. na drobne szmiry i sztampy „romansu przygód”...

Analogiczną nobilitację innej z popularnych odmian literatury rozrywkowej: powieści kryminalnej — przeprowadza i argumentuje „Obietnica” Friedricha Dürrenmatta w świetnym, jedynym i subtelnym zarazem, tłumaczeniu Kazimierzy Iłakowiczówny. Znakomity prozaik i dramaturg atakuje w tej — podobnie jak „Kraksa” — niewielkiej powieści o zbrodni „waskie gardło” tego gatunku literackiego: powodującą zazwyczaj sztywność i schematyczność „kryminałów” żelazną logikę kompozycji i — warunkującą ją — nieskazitelnej wszechwiedzy pozytywnego bohatera-detektywa. Dürrenmatt rehabilituje przypadek w życiu ludzkim, od którego uzależniony jest realizm nie tylko sytuacyjny, ale i — jak się na przykładzie „Obietnicy” widomie okazuje — psychologiczny, powieści kryminalnej, jej pełnoprawność estetyczna i filozoficzna.

## Zbigniew Pędziński

Michel Butor: Przemiana. Przekład Ireny Wieczorkiewicz. Warszawa 1960 PIW.

Heinrich Böll: Człowiek z nożami. Przekład Teresy Jętkiewicz. Warszawa 1960 Czytelnik.

Irwin Shaw: Młode lwy. Przekład T. J. Dehnela. Warszawa 1960 PIW, wyd. II.

Graham Greene: Nasz człowiek w Hawanie. Warszawa 1960 PAX.

Friedrich Dürrenmatt: Obietnica. Przekład Kazimierzy Iłakowiczówny. Warszawa 1960 PIW.

MECENASOM WSI SPOKOJNEJ  
POD ROZWAGĘ

nieufność wywołuje u młodego chłopca wiejskiego bajeczka, że matka jego dawała na mszę na intencję wyzdrowienia jego starszej siostry lub odmawiała trzy pacierze do św. Franciszka na odczynienie uroku rzucanego przez lokalną znachorkę.

Prawda, że i dziś wciąż jeszcze toczą się zawile, długie procesy o ziały rodzinne, ale nikomu na myśl nawet nie przyjdzie szukać pośrednictwa na plebanii. Sąd świecki, laicki sąd jest najwyższym autorytetem, rozstrzygającym wszelkie spory i ważne nawet rodzinne i tylko apel sędziego pogodzić może poważniejsze strony. Dziś już i najstarsi gospodarze nie uciekają się pod opiekę dobrodzieja, co najwyżej chyłkiem, w tajemnicy przed krewnymi, biegną do pobliskiego miasteczka, by w prywatnym rozmowie z prokuratorem lub sędzią zasięgnąć rady, „jako że sąd jest ludowy i darmo musi ludowi radzić”.

Na głowę bije księdza agronoma — samouka zawodowy, wykształcony w technikum, a to i na studiach wyższych agronom — fachowiec, którego postępy w nauce śledziło się z zapartym oddechem przez pięć z górą lat, na którego edukację i państwo, i rodzicełożyli niemałe sumy. Tylko nieliczni starszakiowie usiłują bronić swoich przestarzałych metod uprawy ziemi. Wśród średniej i młodej generacji chłonną w dziedzinie zainteresowań agrotechnicznych w ostatnich kilku latach przekracza wyraźnie nasze możliwości podaży. Popyt na popularne broszury, na porady zawodowe, spotkania ze służbą rolną i weterynaryjną wzrasta z każdym miesiącem. Nie ma obawy, aby zapowiedziane agronomówki mogły stać pustką. Jeśli kierowane będą przez wykwalifikowanych agronomów, będą one załadnione i w dniu świętecznym, i nawet w czasie nabożeństw. Kto

widział, jak tego lata pracowali chłopcy w czasie sumy w święta i w niedziele, nie odmówił słusznosci tym przewidywaniom.

Chętnie upraszamy złożony proces ucieczki młodzieży wiejskiej do miasta. Jeśli dziś chłop stara się za wszelką cenę umieścić syna w szkole budowlanej lub innej, związanej z rozwojem przemysłu, to nie dlatego, że gardzi rolnictwem lub nie wierzy w jego przyszłość. Ale przyszłość rolnictwa wskutek wielu przyczyn przedstawia się w oczach rozsądnych chłopów mgliście, jest odległa, podczas gdy przemiany w przemyśle odbywają się tak szybko i przynoszą tak realne rezultaty, iż warto, aby uczestniczył w nich bezpośrednio i reprezentant młodej generacji chłopskiej, aby przy ostatecznym bilansie nikt nie zarzucił, że wieś stała na uboczu.

Bez przesady można powiedzieć, że już dziś chłopcy przyjęli zapowiedź powstawania agronomówek z dużym zadowoleniem. Zaufania do nauki nie podwiele ani znachorka, ani plebania. I chociaż tu i ówdzie słyszy się, iż problem rejonizacji wywoła wiele zgrzytów, ale innego wyjścia nie ma, jest to jedyne wyjście do przyspieszenia postępu gospodarczego na wsi.

Na tle tych właśnie nurtów społeczno-gospodarczych kształtuje się laicyzm na wsi, jest on — śmiał twierdzić — głębszy i pełniejszy od laickich i ateistycznych prądów wywodzących się z ruchów postępowo-mieszczańskich. Wiąże się bowiem ściśle z całokształtem zadań naszego państwa. Dlatego warto na gorąco notować wszystkie jego objawy zarówno na użytek nauki, jak i działających na wsi organizacji społecznych, szkolnictwa rolniczego i instytucji kulturalnych.

Waldemar Babinicz

## Teren pracuje

Wiejskie Kluby Inteligencji. Na wsi polskiej pracuje przeszło 200 tysięcy osób zaliczanych do inteligencji. Inteligencja ta żyje często w rozproszeniu, oderwana od środowiska, w którym pracuje i od miasta, do którego jeszcze zazwyczaj tęskni. Czuję się wyizolowana, pozbawiona życia towarzyskiego, kontaktu ze światem.

W tej sytuacji poszczególne środowiska radzą sobie przez tworzenie Klubów Inteligencji Wiejskiej, które stają się miejscem wypoczynku po pracy i towarzyskiej dyskusji przy czarnej kawie. Patronuje Klubom Związek Młodzieży Wiejskiej, który równocześnie zapewnia im co jakiś czas wybitniejszych prelegentów (pisarzy, poetów, naukowców, działaczy). Takie spotkania byłyby inspiracją do własnej działalności klubowiczów, a następnie do zajęcia się sprawami swego środowiska.

Inteligencja wsi i osad Lubelszczyzny nie pozostaje w tyle. Zawiązało się już 12 klubów, między innymi w Radoryżu, Rybczewicach, Tarnogrodzie, Leśnej Podlaskiej i w Michowie.

T. K.

W Białej Podlaskiej rozpoczął działalność Międzyzakładowy Klub Podlasiak. Celem tego Klubu jest działalność oświatowa i towarzyska. Dzięki inicyjatywie Rady Klubu udało się włączyć do czynnego uczestnictwa i pracy oświatowej miejscową inteligencję. Lekarze, prawnicy, profesorowie szkół średnich przygotowują i wygłaszają często zupełnie bezinteresownie odczyty. Po odczytach z reguły odbywają się dyskusje. Niestety, jeszcze zbyt mało skupiają one słuchaczy. O wiele większą frekwencją cieszą się spotkania i wieczory autorskie warszawskich literatów. (W najbliższym czasie odbędzie się wieczór autorski Jerzego Andrzejewskiego).

Drugim kierunkiem pracy Klubu jest działalność rozrywkowo-towarzyska. Spotkania towarzyskie przy czarnej kawie powinny skonsolidować rozbite środowisko inteligencji białskiej. Bardzo pożyteczna i ambitna działalność Klubu ma szansę wprowadzenia nowego ducha i treści do pracy środowiskowej Powiatowego Domu Kultury. Trzeba tu dodać, że Międzyzakładowy Klub Podlasiak pracuje przy PDK i korzysta z jego pomieszczeń. Niestety, pomieszczenia te są bardzo nieestetyczne i wcale nie zachęcają do dłuższego w nich przebywania. Władze powiatowe powinny wreszcie zająć się wyglądem Powiatowego Domu Kultury, który obecnie w żaden sposób nie może konkurować z nowymi sklepami i kawiarnią.

W jednym z ognisk lubartowskiego eksperymentu. Dużo pisało się już o tzw. „eksperymentach lubartowskim”. Wiadomo, że treścią tego eksperymentu jest włączenie szkoły do pracy kulturalno-oświatowej ze środowiskiem wiejskim. Szkoła jest więc tą podstawową placówką, od której pracy będzie zależało powodzenie lub niepowodzenie eksperymentu.

Właśnie dotarłem do jednej z takich szkół — ognisk pracy kulturalno-oświatowej. Jest to Łucka, położona na trasie Lublin — Lubartów (5 km przed Lubarto-

wem). Z Łucki widać wieczorem ostatnie jarzeniowe światła głównej ulicy w Lubartowie. Bliiskość ta decyduje, że wieś bardzo wyraźnie ciąży do powiatowego miasta. Wyraża się to tym, że nie ma tu prawie młodzieży. Wielu z mieszkańców wsi zajmuje się rolnictwem tylko po godzinach pracy w mieście. Oczywiście wpływa to na wzrost wymagań stawianych ognisku.

Ognisko w Łucke rozpoczęło pracę pod koniec października. Nie otrzymano tu jeszcze podstawowego wyposażenia i dlatego praca ze środowiskiem jest ograniczona. Odbywają się jedynie wykłady na uniwersytecie powszechnym i próby zespołu teatralnego Kola Gospodyń Wiejskich. Zwłaszcza wykłady uniwersytetu powszechnego cieszą się dużym powodzeniem. Bardzo szeroki wachlarz zagadnień wybrany przez słuchaczy będzie realizowany w ciągu kilku lat. Słuchaczy interesuje wiedza z rolnictwa, astronomii, historii, medycyny, prawa i pedagogiki. Oczywiście chętnie widzieć pomoc tych nauk w rozwiązywaniu problemów, które przynosi życie. Proszą o ilustrowanie wykładów przezrocznymi lub filmami. Z niecierpliwością oczekują się tu na sprzęt świetlenny i telewizyjny. Ognisko oddziaływało na kilka okolicznych wsi (Łuckę Kolonię, Łuckę Wieś, Trzciniec i Baranówkę). Wszyscy mieszkańcy tych wsi są bardzo zainteresowani pracą ogniska i wiążą z nim duże nadzieje, że wpłynie on na ożywienie życia kulturalnego tych miejscowości.

J. Z.

## List do redakcji

W numerze 21 „Kamień” ukazał się list A. Tchórzewskiego, poruszający sprawę plagiatu popelnionego przez Z. Zaborskiego. Autor listu zrobił przy tym dość jednoznacznie aluzję w stronę grupy poetyckiej „Prom”, której jakoby jest członkiem Zbigniew Zaborski. Wyjaśniamy, że wyżej wymieniony należał do grupy zaledwie dwa miesiące i już dawno nie bierze udziału w pracach „Promu”, czego dowodem są audycje radiowe (w czerwcu i listopadzie br.), nadane w Radiowęzu Akademickim. W audycjach tych mówiliśmy o losach naszej grupy, powstałej pod protektoratem Zrzeszenia Studentów Polskich, gdyż jej uczestnicy w większości są studentami wyższych uczelni Lublina. Teksty audycji znajdują się w posiadaniu grupy i nie figurują w nich nazwisko Z. Zaborskiego. Musimy również dodać, że wyżej wspomniany popelniał plagiat nie tylko w stosunku do wiersza A. Tchórzewskiego, ale i J. Jęczyńka, ostatnio zaś wydrukował pod swoim nazwiskiem w „Tygodniku Powszechnym” wiersz kolegi K. M. Dmitruka pt. „Dojrzenie”, nie zmieniając ani jednego wyrazu.

Dlatego też prosimy o zamieszczenie naszego wyjaśnienia w „Kamieniu”.

Grupa poetycka „Prom”



# POETA I CZŁOWIEK

(I)

16 listopada br. upłynęło 150 lat od urodzenia twórcy nowoczesnej poezji czeskiej Karola Hynka (Ignacego) Machy, gwiazdy pierwszej wielkości na firmamencie literatury naszych pobratymców i fenomenu w swoim rodzaju w piśmiennictwie światowym, niestety tak mało znanego poza granicami swej ojczyzny.

Obrazem jest jego rola w rozwoju poezji czeskiej. Wprawdzie w dobie odradzania się narodu czeskiego, w okresie tzw. „budźcielstwa”, występował i inni poeci, jak Józef Kollar, Franciszek Czelakowski czy Karol Erben, ale ci pióro swe oddali przede wszystkim służbie narodowej i społecznej. Macha był poetą z krwi i kości, dla którego poezja była jedyną drogą wypowiedzenia się w sposób tak artystyczny, że dla wielu późniejszych pisarzy stał się niedoścignionym wzorem.

Romantyk. Bajronista. 26 lat życia (1810—1836) — przeto z tych artystów umiłowanych przez bogów, jak Keats, jak Shelley, jak Novalis, jak Lermontow — życia tragicznego w trudach, nędzy, rozczarowaniach, smutkach i rozpacz. Mroczny poeta śmierci, poeta tego „nic”, co kończy wszystko — i jednocześnie poeta zakochany w pięknie natury, w urodzie ziemi ojczystej, jej mowie, historii i zabytkach, w podróży. Wieczysta antynomia, tak wspaniale oddana w jego najlepszym poemacie „Maj”, gdzie groza śmierci zawisła nad głową skazańca klóci się z urokiem wieczoru majowego, ze śpiewem słowików i blaskiem księżycą, gdzie krwawej egzekucji towarzyszy pełen zieleni i kwiecista rozświetlony poranek, budzący się z mglistego świtu. Zachwyt nad pięknem świata, rozkosz i radość życia z jednej strony, a z drugiej — ból i rozpacz z powodu

jego kruchości i przemijania. A ten wieczór majowy, ten poranek jak artystycznie opisane! Aż podziw bierze, że Macha, który pod tym względem nie miał poprzedników, potrafił stworzyć strofy tak lekkie, tak eteryczne, tak melodyjne. Przeszłość jego utworów do dzisiejszego dnia wciąż jest przedmiotem badań krytyki. Poezja Machy to nie tylko dzieło natchnienia, ale i przemyślanej pracy, cyzelatorstwa, przejawiającego się w kadencjach wierszy, w powtarzaniu się pewnych samogłosek, w nawrotach do tych samych obrazów. Nic dziwnego, że Macha stał się mistrzem dla wielu wybitnych poetów, jak Svatopluk Czech, Neruda, Machar — aż do współczesnych — Hałasa czy Nezvala.

Niewielki jest jego dorobek twórczy (najcelniejsze utwory to „Maj”, „Cyganie”, kilka drobnych liryków, a z prozy „Marynka”), ale jakże wielki ich ciężar gatunkowy!

W n-rze 46 „Literarnich Novin”, w znacznym stopniu poświęconym rocznicy Machy, znajdujemy m. in. entuzjastyczny artykuł o nim Edyty Pargeter, która przełożyła „Maj” na język angielski. Tłumaczka skromnie pisze o swej pracy. Mnie ten poemat wydaje się w ogóle nieprzetłumaczalny. Jako ciekawostkę przytoczę tu fakt, który chlubnie świadczy o naszych zainteresowaniach poezją czeską. Oto w t. IV „Biblioteki Warszawskiej” z r. 1855 ukazał się przekład „Maja”, dokonany przez Bronisława Maleckiego w Radomiu w r. 1853, a więc w 17 lat po ukazaniu się oryginału, kiedy w Czechach jeszcze się na nim nie poznano (almanach „Maj”, będący holdem złożonym przez młodych wielbicieli Machy, wyszedł dopiero w trzy lata potem!). Niestety, tłumaczenie Maleckiego jest nieudolnym miernikiem „siły na zamiary” i w jego dziesięciogłoskowym przeważnie wierszu z żeńskimi rymami gubi się całkowicie lekkość i muzyczność oryginału.

Twórczość Machy, nacechowaną głębokim pesymizmem, można lepiej zrozumieć poznawszy jego trudne życie, które ułożyło się bardzo tragicznie. Ale o tym za dwa tygodnie.

X. Rovay

## LUBELSKI kalejdoskop akademicki

9 października w sali im. J. Marchlewskiego w UMCS odbyła się inauguracja roku akademickiego w Studium Zaocznym Wyższej Szkoły Ekonomicznej. Liczba 136 słuchaczy, którzy rozpoczęli zajęcia w roku ubiegłym zwiększyła się obecnie o dalsze 76 osób.

15 października w sali konferencyjnej KW w Lublinie odbyła się inauguracja zajęć w Wyższej Szkole Nauk Społecznych. Przemówienie wygłosił i sekretarz KW PZPR Władysław Kozdra, a w uroczystościach wzięli udział m. in.: wiceminister Oświaty Michał Godlewski, dziekan Wydz. Humanistycznego UMCS doc. dr K. Myśliński i doc. dr K. Łaski, który wygłosił inauguracyjny wykład pt. „Czynnik określający tempo wzrostu dochodu narodowego w gospodarce socjalistycznej”.

23 października — w 16 rocznicę powołania do życia w wyzwolonej Polsce pierwszej wyższej uczelni — odbyła się uroczysta inauguracja roku akademickiego w UMCS. Ze sprawozdania złożonego przez prorektora UMCS prof. dr Jana Dobrzańskiego zebrani dowiedzieli się m. in., że w ubiegłym roku w UMCS studiowało 2250 osób, obecnie zaś przybyło 537 studentów. W inauguracji wzięli udział przedstawiciele władz terenowych i partyjnych, a wśród nich przewodniczący PWRN — mgr Paweł Dąbek, i sekretarz KM PZPR Mieczysław Martyn i przewodniczący PMRN Edward Janiuk. Wykład inauguracyjny pt. „Doświadczenie i działanie — podstawa i kryterium poznania naukowego” wygłosił prof. dr Narcyz Lubnicki.

Pod hasłem „Studenti swemu miastu” młodzież wyższych uczelni wzięła udział w pracach społecznych na terenie Lublina. W Alejach Racławieckich studenci WSR i AM wykopali rowy pod kabel dla oświetlenia Jarzenlowego od ulicy Nowotki aż do Al. Długosza. Niezależnie od tego studenci wzięli udział w pracach na terenie LSM i w Parku Ludowym.

17 października w klubie studenckim w bloku A na terenie miasteczka uniwersyteckiego odbyło się zebranie organizacyjne Teatru Poezji, który będzie prowadził artystka Teatru im. J. Osterwy — Zofia Bajuk.

Klub taneczny ZSP przeprowadził zapisy do trzech grup tanecznych, w których polskich i radzieckich tańców ludowych oraz

tańca towarzyskiego będą uczyły: J. Wirska, D. Pawełko i D. Spólnicka.

W dniach od 20 do 23 października odbył się V Ogólnopolski Zachodni Rajd Studencki — „Złotów 1960”, którego piesze, kolarskie i motorowe trasy prowadziły przez Pojezierze Pomorskie i Krajny. W imprezie tej wzięli również udział studenci z lubelskich uczelni.

26 października w sali J. Marchlewskiego w UMCS odbyła się uroczystość promowania 3 nowych doktorów prawa. Tytuły naukowe otrzymali: Czesława Żuławska z Krakowa za pracę „Umowa o podwykonawstwo robót budowlano-montażowych”, Zbigniew Sobolewski — „Zasada legalizmu i oportunistu w polskim procesie” i Mieczysław Sawczuk — „Zdolność procesowa według kodeksu postępowania cywilnego”.

Kierownik Katedry Mikrobiologii UMCS prof. dr Jadwiga Ziemięcka wzięła udział w Światowym Kongresie Gleboznawców w Madison (USA).

Na zaproszenie Wydziału Weterynarii WSR i Lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Nauk Weterynaryjnych bawili w naszym mieście prof. dr Hickman — kierownik Katedry Weterynarii w Cambridge. Uczony angielski wygłosił w Lublinie odczyt i zwiedził pracownie i kliniki WSR.

Coraz więcej lubelskich zakładów i instytucji funduje stypendia dla młodzieży akademickiej. Ostatnio m. in. dyrekcja Zarządu Wojewódzkiego PGR ufundowała dla studentów WSR 10 stypendiów po 650 i 715 złotych. Zostaną one przyznane tym słuchaczom, którzy zobowiązali się do przepracowania w PGR po ukończeniu studiów przynajmniej tyłu lat, przez ile otrzymywali stypendium.

Do Lublina powrócił z USA doc. dr Wiktor Oktaba, kierownik Katedry Statystyki Matematycznej Wydziału Rolniczego WSR, który przebywał przez rok jako stypendysta Fundacji Rockefellera w Uniwersytecie Iowa w Ames, gdzie zajmował się badaniami w zakresie teorii doświadczenia.

Dzięki inicjatywie KW i KM PZPR oraz Wydziału Handlu PWRN powołane zostało do życia przy Wieżorowym Uniwersytecie Marksizmu — Leninizmu w Lublinie Studium Handlu. Celem dwuletnich studiów jest podniesienie poziomu ideologicznego i zawodowego pracowników, którzy zatrudnieni są na kierowniczych stanowiskach w handlu, bądź też mają w najbliższym czasie takie stanowisko otrzymać.

E. R.

# NOTY

**HANBIENIE SPORTU.** Dwa pisma jednocześnie poruszyły niezmiernie przykra dla miliońników sportu sprawę. Adam Chojnowski (Dookoło świata nr 46) wspomina o „ładunkach dynamitu” otrzymanych jeszcze przed wojną przez konie na wysłach, co oczywiście miało wpływ na wyniki totalizatora, oraz o środkach podniecających używanych przez kolarzy (Hugo Koblet, Fausto Coppi i in.) i przytacza przykłady stosowania sztucznego dopingu w wioślarstwie, lekkiej atletyce, pilce nożnej, pływaniu i boksie. Ale wręcz groźny w swej treści jest artykuł Aleksandra Ziemięckiego (Świat, nr 46) nawiązujący do ostatniej olimpiady w Rzymie. Jak się okazuje, zgon kolarza duńskiego i choroba jego dwóch towarzyszy wywołały pigułki „Roncolu”, pobudzającego działalność serca. Autor przytacza zdanie pisarza swiadcącego Gerharda Nebela: „Zdrowe podnieci, które winny człowieka przybliżyć do granic i doskonałości Natury, zastępują się dzisiaj budnymi sztuczkami aptekarskimi” — i opinię Arta Buchwalda. Ten znany publicysta „New York Herald Tribune” zajął krótko pesymistyczne stanowisko (w którym musi być jednak jakieś ziarno prawdy) określając sierpniowy Rzym „jako obóz koncentracyjny atletów”.

**JESZCZE JEDEN WSTRZĄSAJĄCY DOKUMENT** martyrologii obozowej stanowi książka Franciszka Strzyja „W cieniu krematorium” (wyd. Śląsk, 1960). Autor opisuje w niej swoje przeżycia od chwili aresztowania go w marcu 1940 r. do 9 maja 1945 r. Pięć lat poniewierki w więzieniach niemieckich i obozach koncentracyjnych. W swych bezpretenjonalnych, nie ślącących się na „literackość” wspomnieniach, Strzyja daje przerażający obraz autentycznej prawdy: zbrodnia piętrzy się na zbrodni, potworność prześciga się w swej grozie, a wszystko to składa się na dzień powszedni więzienia. Najstraszniejszy to chyba okres ostatnich miesięcy, kiedy autor jest u kresu sił, a chwila wolności tak bliska. Zwłaszcza przerażający jest opis marszu więźniów — szkieletów z obozu Ohrdruf S. III do Buchenwaldu, kiedy to z liczby 8000 ewakuowanych na miejsce dotarło zaled-

wie 3000 osób. Należy podziwiać pamięć Strzyja, który cytując w swych wspomnieniach setki nazwisk oprawców i kolegów, z którymi zetknął się w ciągu swej pięcioletniej „ehenny”.

**EX OCCIDENTE LUX.** „Kurier Lubelski” z kolei prezentuje nam nową „powieść” obrazkową którą jest nie mniej ni więcej tylko klasyczne „W 88 dni naokoło świata” Verne'a. Znowu bezradnie wstrząsnąmy ramionami i zapytujemy: dla kogo ta „literatura”? Przecież każdy z łatwością może sięgnąć po tę książkę w pierwszej lepszej bibliotece i z pożytkiem przeczytać ją w całości, a nie w streszczeniu, złożonym z dowolnie dobranych urywków nadających się do „złustrowania”. Wiemy, że w Ameryce przygotowuje się w ten sposób największe arcydzieła literatury światowej: time is money, a z takiego ilustrowanego „comica-bryka” można raz-dwa poznać Homera, Dantego i Szekspira. I „dioszewo i sierditi”. Ale dlaczego mamy naśladować te bardzo brzydkie obyczaje?

A ZAMIĄST TEGO proponujemy „Kurirowi Lubelskiemu” wprowadzenie bardzo pożytecznej innowacji: kiedy streszczenie tej powieści dobiegnie już końca, można by poniechać kontynuowania tego rodzaju „literatury” i zająć się natomiast prowadzoną umiejętnie w podobny sposób propagandą czytelnictwa. Jak to sobie wyobrażam? A więc wybiera się jakiś frapujący rozdział np. z „Nędzników”, „Trzech muszkieterów” czy „Wyspy tajemniczej”, i drukuje się go w kilkunastu odcinkach w całości lub z minimalnymi skrótami, ilustruje się to, co można, i urywa się druk w najciekawszym miejscu. Potem następuje notatka: kto pragnie dowiedzieć się, jakie były dalsze przygody Jana Valjeana z „Nędzników”, Wiktora Hugo albo d'Artagnana z „Trzech muszkieterów” Aleksandra Dumasa (ojca), niech sobie nabędzie tę książkę w takiej to i takiej księgarni w cenie tyłu a tyłu złotych (a księgarnia w porozumieniu z redakcją powinna zawsze zaopatrzyć się w większą liczbę egzemplarzy tej powieści lub niech wypożyczą ją sobie w bibliotece, i tak kolejno można by propagować lekturę innych książek. Wtedy po pierwsze nie będzie się drukowało nieudolnej namiastki literatury, a po drugie spełni się pożyteczna i potrzebna robota. A ilustrator i tak znajdzie szerokie pole do popisu.

—kaj—

## Szkoły lubelskie u progu Milenium

Bogato i interesująco zapowiadają się obchody Milenium w szkołach lubelskich. Szczególnie dużo inicjatyw w organizowaniu licznych imprez w tym zakresie przejawia Inspektorat Oświaty i Oddział Miejski ZNP. W tym celu zorganizowano w listopadzie konferencje rejonowe nauczycieli szkół podstawowych i przedszkoli miasta Lublina. Konferencje przedmiotowe odbyły się pod hasłem: „Realizacja zagadnień 1000-lecia w procesie nauczania”. Zajęcia w ogniskach metodycznych poprzedził odczyt docenta UMCS dra Adama Kerstena pt. „Najważniejsze problemy 1000-lecia”. Bezpośrednio po odczycie uczestnicy poszczególnych specjalności udali się do szkół, w których odbyły się zajęcia według nakreślonego planu. Materiału do dyskusji miały dostarczyć lekcje: z języka polskiego — lekcja w klasie V pt. „Czego uczą nas o dziejach Lublina legendy i podania ludowe?”, z historii — lekcja powtórzeniowa w kl. VI — „Gospodarka Polski w XVI w.”, z rysunków i prac ręcznych w kl. VII — „Orzeł piasty” i także na lekcji śpiewu — „Uczenie pieśni Noskowskiego „Sokół”. Niezależnie od lekcji poszczególnie ośrodki przygotowały referaty związane ściśle z zagadnieniami zdobyczy kulturalnych Polski na przestrzeni dzieł, wskazujące możliwości ich realizacji w nauczaniu przedmiotów. Grupa nauczycieli z ogniska języka polskiego przygotowała szereg referatów ukazujących metody nasywania jednostek lekcyjnych w kl. od V — VII momentami wychowawczymi (pokazywanie dorobku myśli ludzkiej, omawianie zmian ortograficznych z aspektu historycznego itp.) Ognisko metodyczne wychowania fizycznego omówiło temat: „Ruch sportowy przed 1939 r. i po wyzwoleniu” a na zajęciach ogniska metodycznego śpiewu wygłoszono referat: „Zygmunt Noskowski — jako pedagog i kompozytor pieśni dla dzieci”. Nie sposób wymienić tu wszystkich tytułów referatów i lekcji, które spełniły ważną rolę w realizacji zagadnień związanych z 1000-leciem Państwa Polskiego, bo przecież dużo jest jeszcze nauczycieli, zwłaszcza młodych niedoświadczonych, którym trzeba pomóc. Konferencje przedmiotowe wskazywały natomiast właściwy cel wychowawczy tego, co jest tematem codziennych jednostek lekcyjnych.

Praca nauczycieli miasta Lublina nie ograniczała się tylko do lekcji, trzeba także pamiętać o wystawach wskazujących na osiągnięcia młodzieży i nauczycieli w pracach pozalekcyjnych. Polonistki miały możliwość obejrzenia wielu gazetek poświęconych 1000-leciu oręża polskiego, rozwoju gospodarczego poszczególnych dzielnic kraju, wznawiedzi poetów na temat Morza Bałtyckiego, pięknej kolekcji lalek ilustracyjnych 1000 lat strojów polskich i wielu innych ciekawych rzeczy.

Do tego trzeba także dodać wycieczki do Muzeum Lubelskiego, zwiedzanie Starożytności, zgrupowanie historyczne, gazetki i planse, prace społecznie użyteczne nauczycieli i uczniów (m. in. 13 listopada nauczyciele ze szkół lubelskich zajęli się sadzeniem drzewek w Parku Ludowym). Interesujące przedstawia się również praca w Ośrodku Pracy Pozalekcyjnych w związku z 1000-leciem Państwa Polskiego.

Kierownik tego ośrodka — mgr Bronisława Matys wraz z instruktorami kółek recytatorskich, dramatycznych, tanecznych pracuje już nad zorganizowaniem w skali miejskiej konkursów międzyszkolnych i wystaw. Szczególny nacisk położono na prace w zespołach artystycznych pod hasłem „Poznajemy Polskę”. W tym ambitnym przedsięwzięciu kierownictwo Ośrodka Metodycznego Prac Pozalekcyjnych napotkało na poważne trudności, brak bowiem odpowiedniego scenariusza, który umożliwiłby realizację. Postanowiono we własnym zakresie opracować taki scenariusz, który uwzględniłby pięć regionów Polski: Lubelszczyznę, Kujawy, Mazowsze, Śląsk i Krakowskie z Podhalem. Do opracowania tekstów z wymienionych dzielnic powołano komisję, w skład której weszły następujące osoby: Wanda Kaniorowa oraz nauczyciele ze szkół podstawowych nr 12, 18, 20, 24, 25, 31, — Zbigniew Kozłowski, Anna Apolluk, Janina Owczarz, Andrzej Kanior, Kazimierz Kłosiński, Lucja Orłowska, Bronisława Matys i Stanisław Mikula. Zaopiniowała też swa pomoc Poradnia Kulturalno-Oświatowa na Zamku. Widowisko, o którym mowa, ma mieć charakter 5 żywych obrazów scalonych myśla przewodnią w formie dialogu lub narracji. W tym zaplanowanym widowisku weźma udział kółka zaawansowane, gwarantujące wysoki poziom.

Członkowie i instruktorzy kółek zebrali już materiały w formie utworów prozaicznych, wierszowanych i opisowych. Umówiło to podjęcie pracy Komisji, która skłasyfikuje materiały, następnie opracuje, powieli i wrzysie poszczególnym szkołom do realizacji. Niektóre szkoły zgłosiły już swój akces przy pracy nad widowiskiem, np. Szkoła Podstawowa Nr 12 — do opracowania regionu śląskiego. Przy tej szkole należy zaznaczyć, że Komitet Rodzicielski przeznaczył 24 tys. złotych na zakup strojów śląskich.

Wydać się że za tym przykładem powinny pójść komitety innych szkół lubelskich. Region krakowski z Podhalem będą opracowywały Szkoły nr 24 i 31.

Komisja przewiduje, że praca nad widowiskiem będzie ukończona 15 marca i wtedy ujrzymy na deskach sceny „Domu Kołecjarza” owoce pracy poszczególnych kółek istniejących na terenie Lublina. Będzie to impreza centralna, dochodowa. Zarobione pieniądze pójdą na budowę szkół 1000-lecia i częściowo na nagrody dla biorących w tym widowisku udział.

Obecnie już w każdy czwartek w Klubie ZNP odbywa się kurs tańca, na którym Wanda Kaniorowa uczy instruktorów szkolnych kółek tanecznych osnowy poszczególnych tańców.

Miejmy nadzieję, praca nauczycieli Lublina z okazji 1000-lecia Państwa Polskiego nie skończy się na poruszonych zagadnieniach, ona trwa i z każdym dnem przynosi nowe zdołania i pomysły, o których niejednokrotnie wypadnie jeszcze napisać.

Rys. w numerze  
Włodzimierz Borowski